



# CZTERNAŚCIE

TOM I

KRÓLESTWO ZA KRYSZTAŁ



DAGMARA LORENC

# CZTERNAŚCIE

TOM I

KRÓLESTWO ZA KRYSZTAŁ

# Spis treści

Strony redakcyjne	4	Księga II	285
Mapa Aislinu	7	Rozdział 1	286
Cytaty	8	Rozdział 2	334
Księga I	10	Rozdział 3	363
Rozdział 1	7	Rozdział 4	406
Rozdział 2	37	Rozdział 5	452
Rozdział 3	65	Rozdział 6	477
Rozdział 4	79	Rozdział 7	518
Rozdział 5	96	Rozdział 8	555
Rozdział 6	119	Rozdział 9	592
Rozdział 7	137	Rozdział 10	626
Rozdział 8	152	Strony końcowe	641
Rozdział 9	170		
Rozdział 10	185		
Rozdział 11	209		
Rozdział 12	229		
Rozdział 13	245		
Rozdział 14	265		

Copyright © Dagmara Lorenc, 2024

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana ani powielana, na dowolnych nośnikach, ani udostępniana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody autorki.

Korekta: Elwira Zapałowska ([www.nad-wyraz.pl](http://www.nad-wyraz.pl))

Ilustracje: Agnieszka Yagna Firla

Opracowanie graficzne okładki: Dagmara Lorenc

Skład i łamanie: Dagmara Lorenc

Wydanie I (PDF)

ISBN 978-83-971183-3-1

Wydawca: Dagmara Lorenc

[www.czternascie.pl](http://www.czternascie.pl)

[kontakt@czternascie.pl](mailto:kontakt@czternascie.pl)

# CZTERNAŚCIE

TOM I

KRÓLESTWO ZA KRYSZTAŁ



Dagmara Lorenc

2024

Bartkowi. Kocham.



Myślałem wiele o tym, co jest przyczyną owego wszechobecnego i wszechprzenikającego zła, które – jak sami zdążyliśmy z bólem zaobserwować – nieuniknienie, niczym cień, towarzyszy Życiu, niezależnie od jego kształtu czy natury, i które nieodmiennie pociąga za sobą brak szczęścia czy wręcz jego przeciwieństwo. Doszedłem do wniosku, że w rozważaniu tej kwestii za dużo uwagi poświęca się sile, podczas gdy właściwej przyczyny należałoby raczej szukać w słabości. Bo czy można powiedzieć, że siła sama w sobie jest czemuś winna? Czyż nie jest w jakiejś swojej formie niezbędna, by w ogóle mogło zachodzić coś takiego jak istnienie? To nie siła, a słabość, słabość i jej bezbronność wobec siły prowadzą ostatecznie do zła i cierpienia. Słabość w najszerszym tego słowa znaczeniu, mieszcząca w sobie i nieznaną, i niemożność, i konieczność.

Lecz, ostatecznie, czymże jest słabość, jeśli nie bladym odcieniem siły? Eliminując słabość w pewnej mierze, choćby i przemożnej, będziemy jedynie przesuwac się po jednym ciągłym spektrum, nigdy nie osiągnąwszy punktu krańcowego, owego niedoścignionego ideału, jakim jest siła bezwzględna. Tak długo, jak istnieć będzie słabsze i silniejsze, mniej i bardziej potężne, tak długo możliwym będzie Zło i jego Cień. Jeżeli pominiąc Nicość – ostateczną i najpewniejszą rękojmię Braku – to osiągnięcie Dobra bez Zła możliwe jest jedynie po zredukowaniu wszelkiego istnienia do Jednego, które z natury rzeczy nie może być od siebie ani słabsze, ani silniejsze, a zatem jest z gruntu niezdolne do czynienia i powodowania Zła. Tylko Jedno może nie znać ani siły, ani słabości, i dlatego w rzeczywistości immanentnie pozbawionej Zła wyłącznie dla Jednego jest miejsce.

Tym bardziej cieszę się, że Ty i Ja jesteśmy Jednością.



Przybyli statkami z zachodu, wiedzeni ciepłymi prądami i pragnieniem odmiany losu. Jasnowłosi i jasnoocy, rośli i krzepcy, zahartowani przez zimną północ. Zamiast ciężkich zbroi mieli na sobie skóry z nieznanym na Aislinie zwierząt. Nikt nie wiedział, jak ich nazywać, dlatego elfy nadały im miano *Lapsed Silmapiri*, Dzieci Horyzontu. Dopiero później odkryto, że sami siebie nazywają Welimami.

Nikt nie wiedział, co ze sobą przynoszą. Nikt nie przypuszczał, że ich białe żagle mogą zwiastować rzeki ognia i morze krwi.

Przybył z nimi Biały Czarodziej. Przybył z nimi Biały Kryształ. Przybyła z nimi Śmierć.

I jeszcze kilka innych rzeczy.

Digendryt z Tertigen, *Krew w bieli zaklęta* (1391)

# Księga I

# Rozdział 1

Niebo broczyło z otwartej rany, nie krwią, a rozżarzoną żelazem; a może to zachodzące słońce znaczyło widnokrąg ognistą poświatą, zasypując skalne rozpadliny iskrami czerwieni i złota.

Po brunatnej powierzchni skał sunął cień. Kurczył się i wydłużał, zlewał się z plamami czerni obrastającymi głazy, ześlizgiwał ze zboczy i przepadał w szczelinach, by chwilę później osiągać swą pełnię na płaskich szczytach kamiennych wybrzuszeń, suchych i bezpłodnych, zaścielanych warstwą rumoszu i pyłu. Nad nim, wysoko w powietrzu, szeroko rozpostarte skrzydła cięży gęstniejący mrok. Żółte oczy chłonęły rozciągającą się w dole pustkę, niezrażone nadchodzącym triumfem nocy, zdolne przebić jej gęstą zasłonę. Ciemnopióry ptak zataczał ogromne koła nad płaskowyżem, usiłując objąć wzrokiem jak największy obszar, i wytężał słuch, gotów wyłowić z ciszy choćby najlżejszy szmer.

Puchacz krążył tak od dłuższego czasu, zachowując bezpieczną odległość od pola walki. Jego cień stapał się coraz bardziej ze wzbierającą ciemnością, a on dochodził do przekonania, że próżno fatyguje skrzydła. Cała kraina wydawała się martwa, pozbawiona choćby tchnienia wiatru. Jeśli ktoś był w okolicy, to doskonale ukrywał swoją obecność.

Zawrócił i skierował się na wschód, tam gdzie na szczycie jednego ze wzniesień, osrebrzone blaskiem księżycy w pełni, ciemniały dwie kobiece sylwetki. Zakreślił ostatnie koło i zniżył lot, by wylądować u ich stóp.

– Nic nie widzę, nic nie słyszę – zahukał, składając skrzydła.  
– To nie znaczy, że nikogo tutaj nie ma.

Jego słowa przeszły bez echa. Ślad zainteresowania okazał jedynie czarny kot, który wychynął zza najbliższego głazu i wbił w puchacza przenikliwe ślepie. Żadna z kobiet nie zareagowała, choć niewątpliwie go usłyszały. Obie zastygły w bezruchu upodabniającym je do posągów, ze wzrokiem utkwionym w odległym punkcie na zachodzie. Ich uwagi nie zaprzętał jednak rozplamiony horyzont, a nieregularne rozbłyśki obcego, demonicznego światła: czerwone, fioletowe, żółte.

– Widzisz, jak szeroko są rozrzucone? – zagadnęła Tariro. – To znaczy, że nie pokonali jeszcze murów twierdzy. Walczą na zewnątrz.

Vira zerknęła ukradkiem na siostrę. Cała jej postawa, od zadartej głowy po stopę opartą nonszalancko na kamieniu, zdradzała opamiętanie i pewność siebie. Vira, napięta jak struna i odrętwiała ze strachu, poczuła nagły przyptyw szacunku dla jej odwagi. Nie po raz pierwszy zresztą.

– Przenieśmy się trochę bliżej – zaproponowała Tariro. – Może tam?

Zniknęła i w tej samej chwili wyrosła na sąsiednim szczycie, a Vincent natychmiast zerwał się do lotu, by do niej dołączyć. Vira drgnęła dopiero, gdy coś otarło się o jej nogi. Schyliła się niezgrabnie, by wziąć Donata na ręce. Kocur miauknął i wykręcił szyję, żeby na nią spojrzeć. Z pewnością chciał coś powiedzieć, dodać jej otuchy, ale nie zdążył. Vira wzięła głęboki wdech, wyciągnęła dłoń, by otworzyć przed sobą portal, i po chwili oboje dołączyli do Tariro.

Czarodziejki zmieniły stanowisko jeszcze kilkakrotnie, stopniowo zmniejszając dystans dzielący je od twierdzy. Wkrótce okazało się, że szalejącym błyskiem towarzyszą niewiadomego pochodzenia świsty i trzaski. Przed nimi rysowały się coraz wyraźniej kontury ogromnej budowli, ciemnej i mrocznej na tle rozżarzonego widnokręgu, z wyjątkiem tych krótkich momentów, kiedy rozjaśniała ją

migotanie ostrego, nienaturalnego światła. Wreszcie znalazły się na tyle blisko, że demoniczne błyski wydobywały z mroku ich pełne przejęcia twarze. Teraz potrafiły już rozróżnić zewnętrzny pierścień murów, z pustą bramą flankowaną grubymi basztami, oraz mur wewnętrzny, osadzony na planie kwadratu, a w rogach umocniony wieżami, które dawno temu musiały dumnie górować nad okolicą. Obecnie z dawnego majestatu pozostało niewiele. Opuszczona przed wiekami forteca, pozostawiona na niełaskę żywiołów i szarpana przez czas, z trudem dźwigała ciężar samotności. Pokruszone baszty ledwo wyglądały zza ziejących wyrwami murów. Jedyna, która nie zamieniła się jeszcze w wystrzępiony kikut, przywodziła na myśl palec oskarżycielsko wycelowany w niebo.

Vira walczyła z paraliżującym ją strachem. Chciała wyrazić swoje obawy na głos, ale język miała sztywny jak kołek, a gardło wyschnięte na wiór. Pomimo wieczornego chłodu pociała się, jakby ktoś zamknął ją w kuźni. Czerwona łuna rozpalająca horyzont kolarzyła się z odległą pożogą, bliżej szalejąca magia szpeciła niebo jaskrawymi wykwitami. Była w tym zapowiedź czegoś strasznego, ostrzeżenie i wyrok zarazem.

„To już”, pomyślała. „A jednak dosięgła nas ta wojna”.

Bezwiednie obejrzała się przez ramię, w kierunku oddalonego o dwie mile kamieniołomu, a więc kolebki całego tego koszmaru. Jego zarządca dostrzegł niedawno dziwne światła błyskające w okolicach starej twierdzy. Zaniepokoiło go to na tyle, że poczuł się w obowiązku zawiadomić stolicę. „Na moje nieszczęście”, pomyślała Vira. Tak bardzo chciałyby, żeby zachował to dla siebie, żeby ta informacja nigdy nie dotarła do Kamantery. Wiedziała, że takie myślenie przeczy zdrowemu rozsądkowi, ale nic nie mogła na nie poradzić.

Dziś sytuacja się powtórzyła, z tą różnicą, że zarządca od razu skorzystał z przywoływacza. Wiadomość trafiła bezpośrednio do właściwych osób, czyli do Viry i jej siostry bliźniaczki.

– Nie możemy dłużej zwlekać – zdecydowała Tariro. – Skup się, od teraz musimy bardzo uważać. Lepiej podejść ten ostatni kawałek. Widzisz tamten zakręt?

Po pionowej ścianie wzgórza pięły się wąskie schody wykute w skale. Tam właśnie przeniosły się czarodziejki. Tariro natychmiast wyszukała stopień, z którego miała dobry widok na bramę, a Vira wypuściła Donata z objęć i powlokła się za nią. Po chwili dołączył do nich Vincent, który wrócił z kolejnego, krótszego już zwiadu.

– Poza murami czysto. Za pierwszą linią dostrzegłem kilka sylwetek, chyba cztery, ale nie przyglądałem się specjalnie, bo nie chciałem oberwać. Demona ani śladu, tylko te dziwne błyski. Może jest niewidzialny?

– Może tak być – przyznała Tariro. Obróciła się do Viry i rozpałała na dłoni maleńki ognik, który rzucił drżącą poświatę na jej piegowatą twarz. – Ja zostanę tutaj z Vincentem i Donatem, a ty pójdziesz to sprawdzić – zarządziła ściszym głosem.

W Virze ze strachu przewróciły się wszystkie wnętrznosci.

– Słucham?

– Zbadaj sytuację. Podejdz kawałek i zajrzyj przez bramę.

– Ja mam tam iść?

– A dlaczego nie?

Vira wybałuszyła na nią oczy.

– Posyłasz mnie na pewną śmierć.

Tariro zaśmiała się cicho, jakby usłyszała przedni żart.

– Jaką śmierć? Masz tylko sprawdzić, co się tam dzieje. Zrobić rekonesans, ustalić fakty. I od razu wrócić.

– Dlaczego sama tam nie pójdziesz? Obie wiemy, że jesteś... że masz... więcej... – zająknęła się i utknęła na dobre. Tariro rozumiała jednak doskonale, co ma na myśli. Uniosła wymownie brew.

– Otóż to. Ale wystarczy tego niańczenia. Nie mogę cię przez całe życie chronić i zmuszać do działania.

To było tak bezczelne, że Vira rozdziawiła usta.

– Przecież to ty mnie w to wszystko pakujesz!

– Bo chcę, żebyś była silna.

– Ach, więc uważasz, że jestem słaba? Proszę bardzo, powiedz to na głos!

– Uważam, że robi się gorąco. Uważam, że musisz przestać na mnie polegać i snuć się za mną jak cień.

– Jesteś moją siostrą, za kim mam się snuć?!

Tariro westchnęła przeciągle.

– Po prostu chcę, żebyś była przygotowana.

– Nie ma mowy, nie pójdę tam. – To miało zabrzmieć pewnie i stanowczo, ale Virze załamał się głos. Z policzkami płonącymi ze wstydu, wbiła spojrzenie w burą skałę.

Chciała być odważna, próbowała, ale w takich chwilach niezmiennie ogarniał ją strach, którego nie potrafiła do końca przezwyciężyć. Ostatecznie zawsze oddawała inicjatywę siostrze, za co szczerze sobą pogardzała.

– Musimy zbadać sytuację – ciągnęła Tariro, wyraźnie siłąc się na spokój. – Nie wiemy nawet, kto tam jest.

– Och, wiemy doskonale! – prychnęła Vira, nieco głośniejszym głosem niż zamierzała. – Na kontynencie wszyscy już dawno uznali, że demon jest nie do pokonania, a kryształ nie do zdobycia. To muszą być Welimowie. A sama wiesz, jaką mocą dysponują.

– Zawsze miałaś problem z szerszą perspektywą – zadrwiła Tariro, odgarniając z czoła kosmyk rudych włosów. – Po pierwsze, skąd barbarzyńcy zza oceanu mieliby wiedzieć o twierdzy? Po drugie, cała welimska potęga opiera się na Białym Kryształ, więc pewnie są tacy, którzy desperacko poszukują dla niego jakiejś przeciwwagi. Demon demonem, ale ten kryształ – dźgnęła niebo palcem – jeszcze nigdy nie był tak łakomym kąskiem.

– Nikt nie jest na tyle silny, żeby tego próbować. Ale dobrze, że wspomniałaś o Białym Kryształ. Jeśli coś jest w stanie pokonać

tego demona, to chyba tylko Biały Kryształ. Więc sama sobie odpowiedz, kto walczy za tymi murami!

Nastąpiła długa chwila milczenia, kiedy siostry mierzyły się nieustępliwym wzrokiem. Donośny huk przetoczył się ponad ich głowami i runął w przepaść. Tariro uniosła pojednawczo ręce.

– W porządku, przyznaję, że to bardzo prawdopodobne. Ale nadal nie wiemy, co się tam dzieje! Nie wiemy, czy kryształ naprawdę tam jest, a jeśli to rzeczywiście Welimowie, to czy mają jakąś szansę na zwycięstwo.

– Jeżeli są na tyle potężni, to i tak nie możemy nic zrobić. Więc skoro koniecznie musisz to wiedzieć, to możesz sama tam sobie iść.

– Ach, więc uważasz, że to w porządku? – zakpiła Tariro. – Takie wysyłanie mnie na pewną śmierć?

– Myślałam, że pójdziemy razem.

– Po co? Żeby w razie czego razem wpaść w bagno?

Vira spuściła wzrok. Powoli zaczynało jej brakować argumentów, na dodatek znowu czuła się jak karcone dziecko. Nienawidziła tego.

– Vira, naprawdę mam tego dość. Nikt nie każe ci walczyć z demonem ani nikim innym. Nikt nie każe ci szukać legendarnych błyskotek. Demon strzeże tej twierdzy od wieków, i zawsze doskonale sobie radził. Jesteśmy tutaj tylko na wszelki wypadek.

– Nie zauważyłaś, jak długo to już trwa? Muszą być niesamowicie silni. Nie dam rady.

– Do jasnej cholery! – krzyknęła stłumionym głosem Tariro. – Naprawdę nie mamy na to czasu! To twój cholerny obowiązek, jako czarodziejki w służbie króla. Jesteś to winna Merlesterowi, mnie, innym czarodziejom, całemu królestwu. Jeśli uważasz, że się do tego nie nadajesz, powiedz to tu i teraz. Przeniesiemy cię do administracji.

Vira rozdziawiła usta, przez chwilę nie mogąc znaleźć żadnej godnej odpowiedzi.



– Najzwyczajniej w świecie uważam, że ty nadajesz się do tego lepiej – wykrztusiła wreszcie, głosem drżącym ze wstydu i wściekłości. – Skoro dałaś sobie radę z tamtą starą wiedźmą...

– Zrobiliśmy to razem, Vira. Naprawdę staram się tak myśleć. – Oczywiście Tariro nie mogła sobie odmówić odrobiny uszczypliwości. – Cieszy mnie jednak, że o tym wspomniałaś. Przypominam, że to ja założyłam większość pieczęci, które trzymają ją w lochu. Więc jeśli przydarzy mi się coś złego...

Vira zacisnęła powieki. Zaczynała rozumieć, że nie wygra tej potyczki. Rzecz jasna, Tariro była o tym przekonana od samego początku.

– Masz tu przywoływacz. – Wcisnęła Virze do ręki mały, kwadratowy przedmiot. – Ja zostanę na schodach i będę obserwować główne wejście. Sprawdź, co się tam dzieje, i natychmiast wracaj. Jeśli uznamy, że sytuacja tego wymaga, wezwiemy pomoc.

Vira przyjęła wyrok w milczeniu. Wyminęła siostrę i popędziła po schodach, jakby chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Donat, wyraźnie zaniepokojony, długo odprowadzał ją wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na Tariro.

– Nie miausz serrra – mruknął z wyrzutem. – Ani sumienia. To twoja siostrrra. Widzisz przecież, że nie jest na to gotoua.

– Wybacz, ale nie przywiążuję wagi do mądrości wygłaszanych przez koty – odparła beznamiętnie czarodziejka.

Tymczasem Vira, z żołądkiem skurczonym ze strachu, coraz mocniej zaciskała pięści. Wściekłość rozsadzała jej płuca, rozgoryczenie i poczucie krzywdy mocno trzymały za gardło. To było tak niesprawiedliwe, że najchętniej tupnęłaby nogą, a zaraz potem uderzyła w płacz. Powstrzymała ją przed tym duma, i może jeszcze wrodzona przekora. Vira głęboko pragnęła udowodnić, sobie i innym, że nie jest słaba.

„Zrobię to”, zdecydowała, odbijając się od ostatniego stopnia i stając na płaskim szczycie.

Dopiero teraz ruiny ukazały się przed nią w całej swej wybra-  
kowanej pełni. Rozświetlony zamek budził skojarzenie z rozkładają-  
cym się trupem, siłą przywróconym do życia za pomocą czarnej  
magii. Cztery wieki temu, kiedy nawet Wielka Ziemia Martwa  
i góry Redrysen uchodziły za przyjaźniejsze niż tereny przylegają-  
ce do nich od północy, biegł tędy ważny szlak handlowy. Twierdza  
powstała, aby chronić go przed bandytami i maruderami, a także  
osłaniać od zachodu spore królestwo, którego terytorium stanowiło  
dzisiaj południowo-zachodnią część Kamantery. Obecnie niegościny  
płaskowyż wykorzystywano jedynie jako źródło kamienia.

Zmierzając ku bramie, Vira nerwowo strzelała oczami na boki.  
Nie dość, że trzęsa się jak osika, to przy każdym kroku przeszywało  
ją straszliwe przecucie, że zaraz zostanie zaatakowana. Co prawda  
wytworzyła wokół siebie magiczną barierę, ale za nic nie mogła być  
pewna jej skuteczności. Na dodatek połączenie złości i strachu, które  
rozrywało ją od środka, nie pomagało w skupianiu się na ochronie.

Przyśpieszyła kroku. Tuż przed nią ziała czeluść głównej bramy,  
od wieków pozbawiona krat. Czarodziejka jedynie ogromnym wy-  
siłkiem woli zmusiła się, aby wstąpić w mroczny korytarz. W miarę  
jak posuwała się ostrożnie w jego głąb, coraz wyraźniej dobiegały  
ją odgłosy walki. Ktoś biegł. Ktoś coś krzyczał. Magia roztrzaski-  
wała się z chrzęstem o kamień. Wszystkie te dźwięki przyprawiły  
ją o dreszcze, ale ani na moment nie przystanęła. Bała się, że nie  
będzie w stanie ruszyć dalej.

Będąc już blisko wylotu, zatrzymała się i przywarła plecami  
do ściany po lewej. Światła błyskały raz bliżej, raz dalej, ale nigdy  
dokładnie w tym samym miejscu. W pewnym momencie jasność  
wybuchła zaledwie kilka jardów od niej, na krótko ją oślepiając.  
W pierwszej sekundzie Vira sądziła, że nie żyje. Kiedy zrozumiała,  
że jej usta nadal łykają gorączkowo powietrze, a rozkołatane serce  
nadal pompuje krew, nie była pewna, czy przepełnia ją ulga, czy  
jednak rozczarowanie.

Wreszcie zebrała się na odwagę, aby z policzkiem sunącym po kamieniu, pomału zbliżyć się do wylotu korytarza i wytknąć z niego czubek nosa. W tym samym momencie tuż przed jej oczami śmignął duży, ciemny kształt, który uderzył w ostrą krawędź ściany po drugiej stronie przejścia. Vira odwróciła głowę na czas, by zobaczyć, jak załamuje się w górę i opada, bezwładny i nieruchomy. Dopiero po chwili zrozumiała, że to ciało. Martwe ciało mężczyzny.

Krzyknęła i osunęła się po murze, aż klapnęła na pokrytą okruciami skałą. Tkwiła w tej pozycji przez dłuższą chwilę, sam na sam z połamanym trupem i własnym przerażeniem, z trudem łapiąc oddech. Mężczyzna wyrzwał o ścianę plecami, a teraz leżał na boku, z szeroko rozwartymi oczyma. Welim, sądząc po jego jasnych włosach. Pojawiał się i znikał w rytm wybuchów magii, niczym upiór podczas burzy.

Virze zakręciło się w głowie. Czuła, że albo natychmiast oddali się od trupa, albo postrada zmysły. Miała do wyboru ucieczkę, czyli chwilowe bezpieczeństwo okupione upokorzeniem, albo podążanie naprzód. Wyobraziła sobie scenę swojego powrotu, wyraz twarzy Tariro i jej wymowne milczenie.

Była tylko jedna droga.

Podniosła się na czworaka i wyrzała na zewnątrz. Ciemność zaskoczyła ją bardziej, niż mogłaby to zrobić najbardziej zapamiętała walka. I znów strach ścisnął jej żołądek. Przecież przed chwilą tu byli! Czy to już koniec?!

Kto wygrał, kto przegrał? I co z kryształem, czy nadal tu jest?!

Czy jednak zawiodła?

Niemal z ulgą przyjęła gromki huk i wybuch widmowej żółci, które obwieściły wszem i wobec, że bitwa trwa w najlepsze. Wyglądało na to, że walczący ukryli się za drugim pierścieniem murów, zachowanym znacznie lepiej niż ten pierwszy. Vira zerknęła z niechęcią na pustą bramę wewnętrzną. Za nic nie miała ochoty się do niej zbliżyć. „Jeszcze nie teraz”, pomyślała. „Znajdę małe okienko

albo wyłom w murze”. Na pewno zdoła jakoś zajrzeć do środka, błyskawicznie oceni sytuację, a wtedy wystarczy jedna myśl, jeden wysiłek woli, i znajdzie się z powrotem przy siostrze.

Wychynęła z bramy, stanęła na nogi i od razu skręciła w lewo, przywierając ramieniem do muru. Nie uszła jednak daleko, kiedy ukryte przed jej wzrokiem serce fortecy rozbłysło ostrą czerwienią, która pochłonęła skarłale wieże i zalała międzymurze, wciskając ją mocniej w ścianę. Światło zamigotało i zgasło, a zza murów dobiegł kobiecey krzyk.

Opętańczy, rozdzierający wrzask przerażenia.

Urwał się tak nagle, jak się zaczął, ale to wystarczyło, żeby Virę oblał zimny pot. Ruszyła dalej szybkim krokiem, który natychmiast przeszedł w nieporadny bieg. Biegła bez zmysłów, dopóki nie zahaczyła o coś nogą i nie upadła na kolana. To ją otrzeźwiło.

„Ty skończona wariatko”, jęknęła w myślach. „Weź się w garść, bo naprawdę umrzesz”.

Dźwignęła się na nogi i otarła spocone czoło. Wyciągnęła przed siebie dłoń i oświetliła gruzowisko pojedynczym ognikiem. Już miała iść dalej, kiedy coś ją tknęło. Czy nie natrafiła butem na coś miękkiego?

I skąd ten potworny smród?!

Spojrzała za siebie i natychmiast tego pożałowała. Na warstwie gruzu leżał zmasakrowany ludzki korpus, rozerwany worek, z którego wylewały się wnętrzności. Ciało było pozbawione głowy i wszystkich kończyn, poszarpane resztki odzieży przesiąkły krwią.

Zacharczała, wstrząśnięta gwałtownym odruchem wymiotnym. Odwróciła się i odbiegła na kilka kroków, tak chwiejnie, że omal znów nie upadła. Zgięta w pół, wybałuszała oczy w ciemność i haustami łykała powietrze. Wszystkie myśli zniknęły, zostało tylko bezgraniczne przerażenie i jej własny, niemy krzyk, który narastał i narastał, aż osiągnął apogeum i ustał, a wtedy Vira rozpadła się na tysiąc wrzeszczących kawałeczków.

*To się nie dzieje naprawdę. Nie możesz iść dalej. Umrzesz tutaj. To jej wina. Nienawidzę jej. Nienawidzę siebie. Jesteś za słaba. Nie mogą dostać kryształu. Przecież go nie dostaną. Rozszarpie mnie, zniszczy, zrobi ze mnie miązgę. Nikt nie dałby rady. Tariro dałaby radę. Trudno, zawróć. Nie idź na śmierć. Tariro poszłaby dalej.*

*Tariro poszłaby dalej.*

Z ociąganiem ruszyła przed siebie, teraz już bez konkretnego celu. Nie próbowała nawet dojrzeć toczącej się za murem walki. Zapomniała, po co tu przyszła, liczyło się tylko to, że stawia kroki, posuwa się naprzód. Całe jej istnienie sprowadzało się teraz do tej jednej czynności.

Szła noga za nogą, ledwo zdając sobie sprawę z tego, że nic nie widzi; jedynie krótkie rozbłyski magii pomagały jej wybrać drogę pośród gruzów. Kompletnie oślepiała, nawet nie zauważyła, że minęła kolejną wieżę, zatrzymał ją dopiero mur. Spojrzała bezmyślnie w bok, ale znalazła tam jedynie głęboki cień. Co dalej? Zerknęła przez ramię, jakby w poszukiwaniu wskazówki, i jej wzrok padł na odległą wieżę zachodnią, dumną i wyniosłą pomimo upływu wieków, nieugięte pnącą się do nieba z wyszczerbioną koroną na głowie.

„Kryształ”, przypomniała sobie nagle, jakby zbudzona z głębokiego snu. „Nie mogą dostać kryształu”.

– Co ja robię – wyszeptała z niedowierzaniem, wyciągając rękę, aby oświetlić sobie drogę. Odbudowała barierę i ruszyła śpiesznie wzdłuż ściany, nie odrywając wzroku od muru wewnętrznego, niezmiennie ciągnącego się po jej prawej. Okno. Drzwi. Wyrwa. Musi zajrzeć do środka. Straciła już zbyt wiele czasu.

„Twoim problemem są emocje”, przypomniała sobie. „Gdybyś tylko była tak spokojna i opanowana jak Tariro, wszystko przychodziłoby ci łatwiej”.

Kolejny rozbłysk światła dobitnie uwidocznił, że w ścianie nie ma żadnych prześwitów. Vira przyspieszyła kroku; został jej jeszcze jeden bok kwadratu. Za nic nie wkroczy na arenę walki, ale

przynajmniej uczciwie powie siostrze, że sprawdziła wszystko, co mogła. Niewykluczone zresztą, że Tariro sama wezwała już posiłki; fakt, że Welimowie przedarli się tak daleko, nie wróżył przecież niczego dobrego.

Dalsze rozmyślania przerwała gwałtowna eksplozja: naraz powietrze przeszył złowrogi świst, po którym nastąpiło ciężkie dudnienie, i oto spory fragment muru wewnętrznego zamienił się w dymiącą kurzem stertę kamieni. Wybuch był na tyle potężny, że zaledwie dwa kroki przed Virą skalne pociski uderzyły w ścianę i rozpadły się na drobne kawałki. Ją samą uratowała bariera, teraz dziurawa jak sito.

Padła na ziemię, przerażona, że ktoś ją dostrzeże. Chmura pyłu dotarła i do niej, sprawiając, że zaczęła się krztusić; a jednak to była jej szansa. Gdy kurz opadnie, odsłoni przed nią dziedziniec wewnętrzny.

Wyciągnęła rękę, żeby mu w tym pomóc, ale nie zdążyła nic zrobić, kiedy najbliższa wieża – ta najwyższa, najbardziej uparta wieża zachodnia – rozbłysła ostrym, czerwonym światłem, dochodzącym z komnaty na jej szczycie. Kolejny potworny huk i jej górna połowa rozprysnęła się na kawałki, które łupnęły w zewnętrzny pierścień murów niczym ciężkie kule gradu. Vira instynktownie padła na brzuch i zasłoniła głowę rękami. W tej samej chwili nad twierdzą poniósł się wściekły ryk, i coś jej mówiło, że nie pochodzi on od istoty z krwi i kości. Bardziej niż z głosem kojarzył się z przeciągłym wyciem potężnego wiatru, takiego, który wali domy i wyrывa drzewa z korzeniami. Vira miała niejasne przeczucie, że w walce nastąpił jakiś przełom. Choć nie paraliżował jej już strach, nie potrafiła zdecydować, co dalej. Czy tam, gdzie była, była bezpieczna? Czy w ogóle gdzieś tutaj było bezpiecznie? Na szczęście zachowała na tyle przytomności umysłu, aby odtworzyć uszkodzoną barierę.

Przez wyrwę w murze, za gęstą zasłoną dymu, dojrzała wysoką męską sylwetkę. Mężczyzna biegł, krzycząc jakieś słowa, których

nie miała szans zrozumieć. Światła zaczęły rozbłyskać na nowo, lecz teraz ze zwielokrotnioną mocą i częstotliwością. W obrębie twierdzy zapanowała jasność większa niż za dnia, nie miała jednak nic wspólnego z życiodajnymi promieniami słońca: była wściekła, zjadła, mściwa, żądna krwi. Powietrze wypełniły złowieszcze odgłosy, które teraz nie milkły ani na moment: przeciągłe grzmoty i ostre świsty, szum huraganu i huk spadających kamieni. Pył zasnuwał całą fortecę, wylewał się kłębammi za mury i wzbijał pod niebo, przesłaniając gwiazdy.

Nawałnica, choć gwałtowna, nie trwała długo. Nagle spośród chaosu ruchów, obrazów i dźwięków zdecydowanie wybił się kobiecy wrzask, zupełnie inny od tych, które Vira słyszała do tej pory: wysoki, świdrujący krzyk zniecierpliwienia, namiętna kłątwa, błagalne złorzeczenie. Forteca zatoneła w oceanie czystego, białego światła. Wściekły ryk demona wzniósł się raz jeszcze, choć tym razem krótszy, jakby oskarżycielski, po czym nastąpiła głęboka cisza.

Vira jeszcze przez dłuższą chwilę leżała na brzuchu, ze zwirom wpijającym się boleśnie w czoło. Potem powoli rozchyliła powieki, rozluźniła wczepione we włosy palce. Uniosła się na klęczki, po czym stanęła wyprostowana. Przywitał ją nowy świat, świat ciemności i ciszy, oszałamiająco spokojny, niemal nieruchomy, zasnuty tumanami pyłu zawieszzonego w księżycowym świetle.

Ruszyła biegiem ku dzielnicy wewnętrznemu. Było dla niej oczywiste, że demon pożegnał się z tym światem. Inaczej z pewnością zdążyłby wyczuć jej obecność.

Stopy obsuwały się na zwałach skalnych odłamków, ale Vira nawet tego nie zauważała. Zapomniała o martwym mężczyźnie i bezosobowym korpusie, zapomniała niemal o własnym strachu. Demon poniósł porażkę. Kryształ, o ile się tutaj znajdował, był teraz zupełnie bezbronny. Oto nadszedł moment, kiedy mogła z czystym sumieniem wezwać siostrę. Wręcz powinna, musiała to zrobić.

Jej dłoń drgnęła, ale natychmiast znieruchomiała, a Vira stanęła jak wryta. Przeszedł ją dreszcz. Z niedowierzaniem zacisnęła i rozluźniła pięści.

Zgubiła przywoływacz.

Tymczasem dziedziniec wewnętrzny rozjaśnił się nikłym światłem.

– *Kasmu assei?*

Zadarała głowę. W powietrzu podrygiwała garstka magicznych ogników. Poniżej, na środku dziedzińca, klęczała młoda kobieta. Błada twarz o wąskim podbródku odcinała się wyraźnie od krótkich, czarnych włosów i ciemnej koszuli, tak że zdawała się świecić własnym światłem. Welimka garbiła ramiona i ciężko dyszała, ale mierzyła Virę nieustępliwym spojrzeniem, doskonale skupiona, ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami.

Vira natychmiast zdała sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Nigdy wcześniej się nie spotkały, ale słyszała przecież o czarownicach, czarodziejce, która siała wyjątkowy postrach wśród elfów. Zastąpiła pojedynek z królewską córką, w którym bez wysiłku starła elfkę na miazgę. Była wśród Welimów łatwo rozpoznawalna, bo najeźdźcy zza morza mieli z reguły jasne włosy. Vira знаła nawet jej imię. Pisało się je z elficka: „Archen”, ale wymawiało: *Arśen*.

Archen wyglądała, jakby przeżyła się do skoku, i choć właśnie stoczyła zażartą walkę, a teraz klęczała wśród gruzów, z trudem chwytając oddech, to Vira czuła, że nie gotuje się do szybkiej ucieczki. Emanowała niezachwianą pewnością siebie, patrzyła hardo, wyzywająco wręcz.

– Kim jesteś?

Zabrzmiało to jak żądanie. Vira nie zamierzała odpowiadać. Rozejrzała się ostrożnie po dziedzińcu, ale nigdzie nie dostrzegła mężczyzny. Wyglądało na to, że są same. Co teraz? Jak powinna postąpić? Nie chciała spłoszyć Welimki, dopóki nie odkryje, co z kryształem.



Archen nie trzymała jej długo w niepewności. Wygięła kpiąco usta i uniosła prawą dłoń na wysokość twarzy. W palcach ścisnęła małą, czerwoną bryłkę o nieregularnym kształcie.

– Tego szukasz?

Vira zareagowała instynktownie, posyłając w jej kierunku silny strumień ognia, ale trafiła w pustkę. Wyczuła mocne ugięcie bariery i prędko obróciła się na pięcie, stając na wprost lecących na nią kamieni. Cudem zdążyła zmienić tor ich lotu, zanim przebiły osłabioną bańkę. Natychmiast teleportowała się na drugi koniec dziedzińca, w pobliże bramy wewnętrznej, zbyt oszołomiona, by uświadomić sobie własny strach. Welimka wyłoniła się z cienia i spokojnie podeszła bliżej.

– Jesteś pierwszym człowiekiem, z którym walczę – rzuciła lekkim tonem. – Ciekawi mnie, co potrafisz. Ale najpierw: kim jesteś?

„To moja szansa”, uprzytomniła sobie Vira, naraz bardzo podsekcytowana. Miała przed sobą potężną czarodziejkę wyczerpaną długą i zjadłą walką z demonem. Jeżeli ją pokona, nie tylko pozbawi Welimów silnego atutu, ale także zdobędzie kryształ, w spektakularny sposób dowodząc swojej wartości. Czy można sobie wyobrazić bardziej sprzyjającą sytuację?

Poczuła przypływ odwagi, coś w rodzaju pełnego nadziei entuzjazmu. Wyrzuciła przed siebie ręce i w stronę Welimki popłynęła rzeka pomarańczowych płomieni. Kontynuowała to natarcie, aż zaczęła ją piec skóra, a jednak kiedy opuściła ramiona, wysoka, szczupła postać nadal trwała w tym samym miejscu, absolutnie niewzruszona.

– Nie powiesz? Wolisz pokazać? – zakpiła.

„To było zbyt oczywiste”, pomyślała Vira. Przeniosła się za plecy Welimki i jedną ręką posłała w jej stronę ciężki kamień, mający tylko naruszyć barierę, a drugą ponowiła ognisty atak. Zmieniła pozycję, żeby sprawdzić, czy to coś dało. Archen błyskawicznie odszukała ją wzrokiem, a teraz przyglądała jej się z dziwnym wyrazem

twarży, który całkowicie zbił Virę z tropu. Zupełnie jakby rozważała, czy warto poświęcać nieznaną jakakolwiek uwagę, czy może lepiej po prostu wrócić do domu.

Vira wiedziała, że mogła to sobie uroić, a jednak w jej umyśle zakiełkowała już niepewność: czy tylko się przed nią ośmiesza? Czy nie jest dla niej żadną przeciwniczką? Poczowała, że jej policzki płoną, ale równocześnie zaczęła w niej narastać histeryczna determinacja. Do cholery, *naprawdę* nie jest taka słaba! Czas, żeby wszyscy to zrozumieli.

– Będziesz musiała oddać mi ten kryształ – zasyczała, bardziej do siebie niż do Welimki, i zniknęła jej z oczu.

Znów uderzyła ogniem, lecz tym razem był to skupiony, wąski strumień. Archen uciekła przed atakiem, Vira również zmieniła pozycję i oto stanęły oko w oko pod przeciwległymi ścianami. Zaatakowała Welimkę krawędzią otwartego na odległość portalu, ale zielone światło zatrzymało się na niewidzialnej bańce jak kosa na kamieniu. W odpowiedzi czarnowłosa skrzyżowała przed sobą ręce, po czym gwałtownie je rozpostarła. W kierunku Viry pomknęła fala sprężonego powietrza, która uderzyła w ścianę z siłą huraganu i z impetem rozbryznięła się na boki. Jej samej już tam jednak nie było.

Archen przeniosła się na środek dziedzińca i w tej samej chwili usłyszała za sobą chrzęst kamieni. Wykręciła rękę do tyłu, z rozczapierzonej dłoni wystrzelił jęzor niebieskiego ognia, który powstrzymał natarcie czerwonych płomieni, zanim dosięgły jej bańki. Kątem oka uchwyciła ruch po swojej prawej; wyczuła strumień powietrza rozbijający się na barierze i zostawiający na niej ryse. Następne nadlatywały z coraz to nowych stron, popękana osłona zaczynała się kruszyć. Archen skupiła się na jej ustabilizowaniu i wzmocnieniu, w samą porę, bo od przodu uderzył właśnie, niczym taran, strumień znacznie potężniejszy niż wszystkie poprzednie. Magiczna tarcza

przyjęła na siebie śmiertelnośny impet, ale Archen i tak poczuła na twarzy gorący podmuch, który rozwiał jej włosy i na ułamek sekundy przyćmił zmysły, przypominając, że jest wycieńczona po poprzedniej walce. Rozbłysk ognistej czerwieni ostrzegł ją, że jeszcze sekunda i zostanie z niej kupka osmolonych kości. Zmuszona do teleportacji, w przypiływie wątpliwości ścisnęła mocniej kryształ, jakby chciała go zapewnić, że nie pozwoli go sobie odebrać.

Zmieniła kilkakrotnie pozycję. W pewnym momencie przed oczami mignęła jej obca czarodziejka, z dłońmi rozpalonymi płomieniami i rozczarowaniem wypisanym na twarzy. Archen potraktowała ją nonszalanckim uśmiechem i od razu poczuła przypiływ energii. Prawda, że miała chwilę słabości, ale to się już nie powtórzy. Nie była aż tak zmęczona, żeby nie skorzystać z okazji do zademonstrowania siły. Najlepszą demonstracją siły jest zaś trup przeciwnika.

Szybko odzyskała pewność siebie, zdała też sobie sprawę z panującej wokół ciemności. Rozpaliła nowe ogniki i wróciła na środek dziedzińca. Kątem oka dostrzegła rude włosy przeciwniczki i posłała w jej stronę strumień powietrza, który przy odrobinie szczęścia powinien przeszyć ją na wylot; tamta uniknęła go przy pomocy teleportacji. Archen kręciła się przez chwilę w kółko, próbując odszukać wzrokiem przeciwniczkę, ale tamta jakby zapadła się pod ziemię. To był zły znak. Prędko przeniosła się na szczyt muru, w pobliże wieży południowej, a w miejsce, gdzie przed chwilą stała, uderzył z góry zwarty słup czerwonego ognia. Rozległ się huk, a płomienie rozlały się po dziedzińcu równomiernym pierścieniem i znikły, zostawiając po sobie pęknięcie w kamiennej płycie. Akurat to wyglądało całkiem ciekawie. Archen pomyślała nawet, że są jakieś szanse na dobrą zabawę.

Dostrzegła przeciwniczkę w głębokim cieniu bramy. Trwała nieruchomo, z dłońmi wzniesionymi na wysokość ramion, co mogło oznaczać tylko tyle, że skupia się przed kolejnym potężnym

atakiem. Archen umknęła w przeciwległy kąt dziedzińca akurat w momencie, kiedy tamta z rozmachem opuściła ręce. Kolejny słup ognia sprawił, że górna część wieży południowej gwałtownie runęła, wśród drobnych odłamków pryskających na wszystkie strony.

Archen ta nowa gra bardzo się podobała; pozwalała tanim kosztem wyzuć przeciwniczkę z sił. Niech się trochę pomęczy, skoro taka jej wola.

Przez chwilę krążyła po dziedzińcu, rozglądając się za rudowłosą, która zdążyła już zmienić pozycję. Dostrzegła ją pod murem zewnętrznym, z rękoma wzniesionymi do kolejnego ataku. Cisnęła w nią kulą ognia i natychmiast teleportowała się na gruzy ściany zachodniej. Znow błysnęło i huknęło, a Archen znow potraktowała barierę przeciwniczki słabym, mało wyszukany atakiem. Potem jeszcze kilkakrotnie uciekała przed groźnymi filarami ognia, które sprawiały, że stara budowla trzęsła się w posadach.

Z murów okalających dziedziniec wewnętrzny nie zostało prawie nic, jedynie masywna brama i ogarki baszt zachowały jakiś zarys oryginalnych kształtów. Vira stała wśród dymiącego rumowiska, ciężko dysząc i ociekając potem. Od początku dawała z siebie wszystko, gwałtowny przepływ mocy poważnie nadszarpnął jej siły, tymczasem rezultatów nie było. Co gorsza, straciła Welimkę z oczu. Mimo wszystko miała nadzieję, że tamta nie postanowiła się ulotnić, zabierając kryształ ze sobą. Starła się uspokoić przyśpieszony oddech, który mógł zagłuszyć ciche kroki. Oświetliła dziedziniec i wytężyła słuch, jednocześnie wymacując schowany za koszulą mieczek.

Pora wyciągnąć asa z rękawa.

Archen i tym razem nie trzymała jej w niepewności. Magia nadpłynęła od lewej, smagając jej barierę niczym rozpedzona macka morskiego potwora. Vira przeniosła się w cień bramy wewnętrznej

i nie przestając rozglądać się za przeciwniczką, poluzowała rzemień i sięgnęła do mieszka. Welimka ułatwiła jej zadanie, wyrastając na samym środku dziedzińca. Sekundę później Vira pojawiła się tuż za jej plecami, z jedną dłonią na ziemi. W akcie dywersji wzbila w powietrze chmurę pyłu, po czym teleportowała się nieco dalej, zachowując podobną odległość od Welimki, i zaraz zniknęła ponownie. Okrążyła ją w ten sposób, za każdym razem zostawiając za sobą maleńką pieczęć, aż wróciła do punktu wyjścia. Uklękła i przyłożyła dłoń do woskowego krążka, a wokół czarnowłosej momentalnie zapłonął pierścień ognia.

Archen znalazła się w kręgu wysokich płomieni, który szybko się zacieśniał. Dostrzegła manewry przeciwniczki i podejrzewała, że otacza ją teraz bariera, zapewne mająca uniemożliwić teleportację. I znów tylko się uśmiechnęła. Jakże naiwnie.

Tymczasem dziedziniec zalała rzeka ognia, która spiętrzała się na jej ochronnej bańce i opływała jej boki. Zamknięta w pęcherzu coraz gorętszego powietrza, Archen nie widziała niczego poza szalejącym, wściekle czerwonym żywiołem. Zachowała jednak absolutny spokój, nawet kiedy wokół zrobiło się niebezpiecznie duszno. Tego rodzaju magia nie była w stanie jej przerazić.

Wzięła głęboki wdech i zakręciła się w miejscu. Wokół niej zawirował jej własny ogień, świetliście niebieski, i natarł na ogień przeciwniczki. Czerwone płomienie ślizgały się po kamieniu jak wystraszone zwierzęta, które szczerzą zęby, cofając się przed silniejszym drapieżnikiem. Rudowłosa zmusiła je do ostatniego ataku; nabrzmiały i na krótką chwilę wyskoczyły w górę, ale zaraz zadrżały i zaczęły przygasać, ujarzmione i potulne, aż wreszcie zanikły.

Wokół zrobiło się dziwnie cicho i ciemno, jedynie pierścień zwycięskich płomieni rozjaśniał niebieskawo mrok. Zadowolona Archen odgarnęła włosy z czoła i rozejrzała się za obcą czarodziejką.

Dostrzegła ją na gruzach ściany południowej, a ogień dawał dość światła, by mogły spojrzeć sobie w oczy. Rudowłosa była wyraźnie zmęczona, ewidentnie nie miała też więcej pomysłów. Archen wygięła szyderczo wargi.

– Chcesz mnie zniszczyć ogniem? – zakpiła. – Ogień jest łaskawy. Daje światło i ciepło. Zabija szybko.

„Nie skuwa ziemi twardą skorupą, próbując stłamsić wszelkie życie”, dopowiedziała w myślach, bo trudno jej było znaleźć odpowiednie słowa w obcym języku. „Nie zatrzymuje strumieni w biegu, nie morzy głodem. Nie trwa miesiącami w martwym bezruchu, paraliżując wolę i stopniowo odbierając nadzieję”.

Vira opuściła ręce. Choć nie odniosła żadnych obrażeń, czuła się pokonana. To była jej najsilniejsza karta, a Archen przebiła ją bez większego wysiłku, i to pomimo ciężkiej walki, którą stoczyła chwilę wcześniej. Kim ona była? Skąd czerpała tyle mocy, tyle siły?

Stały naprzeciw siebie, w odległości zaledwie kilku jardów, ale wydawało się, że dzieli je przepaść. W otoczeniu błękitnych płomieni, dumna i zimna, przekonana o własnej potędze, Archen była zatrzważająco piękna. Vira patrzyła na tę wysoką, wyprostowaną postać, i znowu czuła się mała i słaba, żalosna i bezradna.

„Nie możesz pozwolić, żeby uciekła z kryształem”, powiedziała sobie twardo, bezwiednie zaciskając pięści.

Tymczasem Welimka jakby przebudziła się z zamyślenia, drgnęła i zogniskowała spojrzenie na Virze.

– Chcesz, żeby przeciwnik cierpiał? Żeby skamlał o litość? – Strzepnęła rękę, po czym niespiesznie wyciągnęła ją przed siebie. – Użyj lodu.

Zakręciła nadgarstkiem, jednocześnie poruszając delikatnie palcami. Vira machinalnie pochyliła się do przodu, gotowa na odparcie kolejnego ataku. Tymczasem powietrze wokół stało się dziwnie

zimne i suche, aż poczuła drapanie w gardle. Zastanawiała się gorączkowo, jakiej magii mogła użyć Welimka, kiedy usłyszała za sobą przeciągły świst. Wyczuła ugięcie bariery, ale nie zdążyła się nawet obejrzeć, bo nagle silny podmuch powietrza podciął jej nogi, tak że wylądowała na kolanach. Wokół zerwał się lodowaty wiatr, który wzbił w powietrze tumany pyłu i drobniejsze kamienie. Zaskoczona, w ostatniej chwili odbudowała swoją bańkę; sekundę później natarły na nią ze świstem tysiące drobnych igiełek lodu, które odbijały się od osłony albo topniały, usiłując za wszelką cenę ją przebić. Rozkruszyła ją jednak dopiero potężna błyskawica, której liczne rozgałęzienia zatańczyły na skale niebezpiecznie blisko Viry.

Czarodziejka znieruchomiła na dwie sekundy, długie jak wieczność, w oczekiwaniu na cios, który musiał teraz nadejść.

I wreszcie stało się, poraziły ją cienkie, lodowe kolce, nadlatujące ze wszystkich stron, tnące skórę i wbijające się w ciało. Skuliła się i zasłoniła dłońmi głowę i kark, wcisnęła nos w zgięcie łokcia, otwierając usta do niemego krzyku. Ból promieniował z każdego miejsca, którego dosięgły lodowe szpile. Zapomniała o pragnieniu zwycięstwa, o odwadze i tchórzostwie, o honorze i wstydzie, zapomniała nawet o strachu i upokorzeniu. Chciała tylko, żeby to się nareszcie skończyło, obojętnie w jaki sposób. Tymczasem atak trwał, niewypowiedzianie długo, niewypowiedzianie bezwzględny i nieludzki, a kiedy nareszcie dobiegł końca, ból pozostał.

Archen to jednak nie wystarczało. Zaczekała, aż Vira rozewrze powieki, aż podniesie na nią błagalne spojrzenie. Wówczas, nadal z tym samym, niewzruszonym wyrazem twarzy, wyciągnęła dłoń daleko w bok i obróciła wnętrzem do góry. Vira odruchowo zwróciła głowę w tamtym kierunku i zobaczyła, że rumowisko pod odległym murem zachodnim zaczyna się poruszać, wznosić i spiętrzać, a potem sunąć w jej stronę, coraz bardziej przypominając grzbiet wielkiej fali.

„Teleportacja”, przemknęło jej przez myśl, ale na to było już za późno. Wiedziała, że jest zbyt wyczerpana, zbyt okaleczona, żeby wykrzesać z siebie siły. W ostatniej chwili wyrzuciła rękę w górę i zasłoniła się magią jak tarczą. Kamienie zatrzymały się na niewidzialnej przeszkodzie, ale nie przestawały napływać, napierały coraz silniej, aż bariera ustąpiła. Vira zdążyła tylko krzyknąć i przewrócić się na brzuch. Kamienny potwór runął bezwładnie jak żmija, którą gładkim cięciem miecza pozbawiono łba, a skalne odłamki zasypały ją aż po pas. Wrzasnęła rozdzierająco, podniosła się na przedramionach i zaczęła pełznąć przed siebie, jakby nadal mogła liczyć na ratunek, jakby miała dokąd uciekać. Każdy cal okupiony był cierpieniem: ostre krawędzie wrzynały się w ciało, okruchy gnioły, miażdżyły, wykrwawiały. Z największym wysiłkiem uwolniła spod sterty kamieni najpierw jedną, potem drugą stopę. Spróbowała wstać, ale zawiodły ją ręce, załamały się pod nią jak podpiłowane filary mostu. Opadła bezwładnie na bok i zaległa bez ruchu, wyczerpana i zrezygnowana. Marzyła, żeby fizyczne cierpienie odcięło ją od świadomości, ale tak się nie stało. Nadal słyszała i czuła, nadal wdychała pył i żelazisty zapach krwi. Ból wypełniał ją teraz po brzegi, *była* bólem i niczym więcej.

Potem zapadła cisza. Świat znieruchomiał.

Kroki. Żwir zachrząścił tuż przy jej uchu, ale Vira ani drgnęła. Nie była pewna, czy potrafi otworzyć oczy, i bała się spróbować.

Silny kopniak przewrócił ją na plecy. Poczowała, że Welimka zaciska rękę na jej koszuli, że ostrym szarpnięciem podrywa ją do siadu i nachyla się nad jej twarzą. Wiedziała to, bo czuła jej oddech na swoich wargach.

Archen wpatrywała się beznamiętnie w twarz torturowanej kobiety, poranioną, zalaną krwią i oblepioną brudem. „Źle to rozegrałam”, uświadomiła sobie. „Przecież miałam ją wypytać, kim jest



i co ją tutaj sprowadziło. Czy komuś służy, czy może przyszła tu na własną rękę. To przez to zmęczenie”, usprawiedliwiła się sama przed sobą. „Trochę szkoda, teraz już nic nie powie. Nie znam takiej magii, która by ją z tego wyciągnęła. Ale jeśli jakimś cudem przeżyje, może będzie z niej jeszcze jakiś pożytek? Na pewno nie stanowi żadnego zagrożenia”.

Dłoń, w której trzymała kryształ, położyła ostrożnie na karku kobiety. W miarę jak sączyła w jej ciało magię nasyconą intencją, na skórze nieznamym, tuż ponad linią rudych włosów, wykwitła niewielki, ciemny symbol. Archen była tego pewna, bo taka sama wybroczyna zarysowała się na wnętrzu jej przedramienia.

Vira nawet tego nie poczuła. Ogarnęła ją najczarniejsza rozpacz, rozpacz ostateczna, która skamle jedynie o koniec, o błogosławieństwo niebytu. Tymczasem nic się nie działo. Zniecierpliwiona, odchyliła z wysiłkiem powieki.

Napotkała stalowe spojrzenie, przejmujące chłodem, mrozące serce, wwiercające się w duszę. I kiedy szukała w tych oczach choćby cienia wahania, choćby okruczeństwa, jakiegokolwiek śladu człowieczeństwa, jej umysł rozjaśniła nagła pewność, klarowne przekonanie, że te oczy i ta moc nie mogą należeć do człowieka. Do żadnej istoty z tego świata.

Archen była demonem.

Otworzyła zakrwawione usta, chcąc wykrzyknąć oskarżenie, ale z jej gardła wydobył się jedynie charkotliwy bełkot. Welimka poprawiła chwyt na jej koszuli i nadstawiła ucha.

– Chcesz coś dodać? – spytała, jakby z cieniem zainteresowania.

Vira bezskutecznie usiłowała przebić wzrokiem gęstniejącą mgłę. Nie mogła krzyknąć, ale ostatnim wysiłkiem wychrypiała tę przeszywającą myśl, która napełniła ją taką jasnością.

– Nie jesteś... człowiekiem... Prawda?

Dostała pięścią w twarz. Zabolalo, i na ciełe, i na resztce hono-ru. Archen bez słowa rzuciła ją na gruzowisko i cofnęła się o dwa kroki. W ostatnim przeblysku świadomości, tuż przed zapadnięciem w zbawienną ciemność, Vira zobaczyła, jak Welimka unosi rękę.

Wystarczył jeden niedbały zamach, aby okaleczone ciało zaszu-ruło po wyboistym rumowisku, minęło bramę i zatrzymało się dopiero w międzymurzu. Wokół zapanowała głęboka cisza.

Archen rozmasowała bolące knykcie. Zerknęła na ciemną otchłań, w której zniknęło ciało pokonanej czarodziejki, i pozwoliła sobie na uśmiech jadowitej satysfakcji. Nadal czuła smak tych ostatnich, z trudem wychrypianych słów. Spojrzała triumfalnie na błyszczący kamień, który spoczywał na jej dłoni.

– Nieprawda.

\* \* \*

Tariro ani na moment nie spuszczała wzroku z twierdzy. Już kilka razy sądziła, że walka dobiegła końca, już kilkakrotnie zrywała się do biegu, lecz wtedy znów rozbłyskało światło, znów nad fortecą przetaczał się grom. Przywoływacz, który ścisnęła mocno w dłoni i na który nieustannie zerkała, konsekwentnie milczał.

Gdzieś za murami zapłonęła ognista poświata.

– Naprrrawdę powinnaś tam pójść – zamiauczał Donat, który od kilku minut kręcił się bez celu po schodach. Czasem docierał na sam szczyt i spoglądał na bramę, ale szybko zawracał, jakby nie mógł zdzierżyć tego widoku. – Przecież to nie jest norrrmalne.

– Poradzi sobie – odparła sucho. Bardzo chciała w to wierzyć.

– Nie wytrzymam tego. Niech Vincent to sprrrradzi.

– To niebezpieczne.

– Więc sam to sprrrradzę.

– Siedź – warknęła, posyłając mu mordercze spojrzenie.

- Więc ić tam.
- Cierpliwości. Nie jest dzieckiem, wie, co robi.
- Nie ma pojęcia! – zaskamlał Donat, coraz bardziej zdesperowany. – Błagam, spójrz chociaż przez brrramę!
- Daj jej szansę.

Ignorując narastający niepokój, zdeterminowana, by wytrwać w swoim postanowieniu, Tariro obserwowała, jak serce twierdzy wypełnia żółta łuna.

- Coś się zmieniło – szepnęła.

Walka nabrała innego charakteru. Wcześniej na szczycie wzniesienia szalała czysta moc, błyskały dziwne światła, teraz było widać jężory ognia. Czy to oznaczało, że zmienili się uczestnicy? Przecież Vira najchętniej posługuje się ogniem... Tariro miała wrażenie, że na jej żołądku zaciążyła wielka bryła lodu.

Tymczasem Donat nie spuszczał wzroku z Vincenta, który wtulił dziób w pióra na piersi i udawał, że go nie ma. To był doskonały moment, żeby zrobić użytek ze swoich skrzydeł, wychylił się z bezpiecznej kryjówki i zbadał sytuację za murami. Z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, z pewnością miał też nadzieję, że nikt go o to nie poprosi. Niedoczekanie. Do tej pory skutecznie unikał jego świdrującego spojrzenia, ale kiedy Donat przysiadł tuż obok i zaczął zamiatać skałę ogonem, nie mógł go dłużej ignorować.

– Polecę! – zaskrzeczał i zakołysał się na swoich krótkich nóżkach. – Niech wam będzie, że polecę!

– Narrreszcie! – sapnął z ulgą kocur. – Tylko wróć jak najszybciej.

Tariro wyraźnie miała mieszane uczucia, ale ostatecznie skinęła głową, a ptaszysko niechętnie wzbiło się w powietrze. Donat mógłby przysiąc, że minęła cała wieczność, zanim ponownie usłyszał trzepot jego skrzydeł.

– Vira walczy – oznajmił puchacz, jeszcze zanim dotknął szponami skały.

Pozostała dwójka zamarła. Z nieba posypały się czerwone słupy ognia, ale Donat ledwo to odnotował. Cały jego świat wypełniały teraz okrągłe oczy Vincenta.

– Z kim?! – zawołał, przekrzykując hałas.

– Z jakąś kobietą!

– I tylko z nią?! – upewniła się Tariro, kucając przy zwierzętach.

– Chyba tak!

– Poradzili sobie z demonem – szepnęła z niedowierzaniem.

– Szybko, rrrruszmy się wrrreszcie! – zaskamlał Donat. Nagle odzyskał pełną sprawność, którą kocia natura nakazała mu wykorzystać na rozpaczliwe kręcenie się w kółko. – Musisz jej pomóc, *miau!*

Na szczycie wzniesienia na powrót zaległa cisza. Tariro, wciąż bezwiednie obracająca przywoływacz w palcach, podniosła się z kucek i wbiła niewidzące spojrzenie w skalną ścianę.

– Nie – oznajmiła twardo. – Zaczekamy.

– Zwarrriowauaś?! – zamiauczał, stając na tylnych łapkach i czepiając się pazurami jej spodni. – Co się dzieje w tej twojej chorrej głowie?!

– Może to jej moment – powiedziała, bardziej do siebie niż do niego.

Donat w niedowierzaniu rozszerzył oczy.

– Jak myślisz, kto wygrrrrywau? – zapytał Vincenta.

– Trudno powiedzieć, naprawdę. Chciałem jak najszybciej wrócić i wam o tym donieść.

Donat popatrzył na puchacza, jakby tamten sprawił mu ogromny zawód, po czym wrócił do męczenia czarodziejki.

– Tarrriro, ta kobieta pokonaua demiauna! Którrry siedziau tu od kilku wieków!

– No właśnie. Czyli jest zmęczona.

– Jeśli nie zależy ci na siostrze, to pomyśl chociaż o krrrryszta!e!

– Cały czas myślę o kryszta!e. – Zmarszczone czoło wskazywało, że czarodziejka intensywnie coś rozważa. – Zaufam jej

– oświadczyła nagle. – Ale nie będę stać bezczynnie. Otoczę twierdzę barierą, żeby nikt nie mógł się stamtąd teleportować.

– Nikt! – podchwycił zrozpaczony Donat. – Nikt, czyli także Virrra! Chcesz jej uniemiauzliwić ucieczkę?!

– Vira wie, że nie może uciec – stwierdziła sucho Tariro. – Ten kryształ jest zbyt ważny. Dlatego nie mogę pozwolić, żeby stamtąd zniknął.

Wymacała pod koszulą sakiewkę i poluzowała ramię. Donat opadł bezsilnie na cztery łapy. Dalsze próby przekonania tej kretynki nie miały sensu, mógł jedynie czekać.

Czarodziejka wspięła się na szczyt schodów i wsiąknęła w ciemność. Donat usiłował skupić wzrok na pozostawionym przez nią małym ogniku, ale wkrótce spuścił głowę, szukając kryjówek w burości kamienia. Ogień szalejący w obrębie twierdzy rzucał na niebo rozedrganą poświatę, a on bardzo nie chciał tego widzieć. Równie mocno pragnął niczego nie słyszeć, bo z góry docierały nieustannie złowieszcze odgłosy walki. Najchętniej rozpląnąłby się w powietrzu i zniknął na zawsze. Nie mógł znieść niepewności, a jednocześnie czepiał się jej tak, jak korzenie zawieszono nad przepaścią drzewa czepiają się skały. Wędrowni w górę schodów i zerknięcie na fortecę urosły teraz w jego mniemaniu do rangi niemożliwych wyczynów.

Wbrew własnym pragnieniom zachował pełną czujność. Wkrótce jego czułe uszy wyłowily z hałasu szybkie kroki. Poderwał nerwowo głowę, podobnie jak Vincent, mimo że obaj rozpoznali w tych krokach Tariro.

– Gotowe!

Trzeba było przyznać, że uwinęła się całkiem sprawnie. Zbiegła kilka stopni w dół.

– Bariera już stoi! – zawołała, jakby przynosiła dobre wieści. – Komuś wyczerpanemu walką trudno będzie ją przebić.

– A Virrra?! Nie zamierzasz jej pomóc?! – zawołał Donat i nastąpił łapkami na jej but. – Zamknęuś ją w potrzasku, a terrraz

będziesz tu stać i spokojnie czekać na wynik?!

Czarodziejka drgnęła, twarz jej stężała, ale nic poza tym.

– Tarrro?! TARRR...!

Ukucnęła gwałtownie, żeby podstawić mu pod oczy ściskany w palcach przywoływacz.

– Widzisz to?! Milczy. MILCZY! Nie użyła go. A ja jej ufam.

Donat zerknął z nienawiścią na martwy przedmiot, ale zanim zdążył odpowiedzieć, ze szczytu dobiegł przeraźliwy wrzask. Od razu rozpoznał ten głos.

– To Virra! – zaskamlał, wykręcając dziki piruet. – To był jej krzyk!

Smagnął czarodziejkę ogonem i bez słowa popędził w górę schodów. Uświadomił sobie, że wokół zrobiło się cicho, zupełnie cicho. Miał przeczucie, że stało się coś naprawdę strasznego. Nie mógł dłużej czekać, musiał wiedzieć. Musiał ją zobaczyć.

– DONAT!

Słyszał, że Tariro biegnie za nim, słyszał znajome bicie skrzydeł. Nie zamierzał się zatrzymywać.

– Ostrożnie! Pójdę pierwsza! Zaczekaj!

Tuż przed bramą niechętnie zwolnił i pozwolił się wyprzedzić. Tariro bez zastanowienia wstąpiła w mroczny korytarz, oświetlając sobie drogę ogniem. Drugą ręką gmerała już w kolejnej sakiewce, szukając innego przywoływacza, który miał jej posłużyć do wezwania arcy maga. Zamknęła kamień w dłoni i nakarmiła odrobiną magii. Teraz pozostało czekać na odpowiedź Pyrrivena.

Na dziedzińcu panowała głęboka ciemność, rozpraszana jedynie światłem gwiazd. Tariro wahała się tylko przez moment. Uniosła ręce i posłała pod niebo dziesiątki migotliwych ogników, oświetlając całą ruinę. Bezmyślny kocur momentalnie wysforował się przed nią.

– VIRRRA!!!

Dostrzegł ją niemal od razu, sekundę po tym, jak wyczuł zapach krwi. Leżała bez ruchu na ziemi, tuż przy bramie wewnętrznej.

Jej ciało, nienaturalnie skręcone, wyglądało z daleka jak porzucona szmaciana lalka. Śmierdziało strachem. Kiedy podbiegł bliżej, zobaczył, że włosy i ubranie ma oblepione brudem i krwią.

– Sprawdź, czy jesteśmy sami! – usłyszał za sobą głos Tariro.

Huknięcie puchacza, bicie skrzydeł, chrzęst kamieni pod stopami biegnącej czarodziejki – wszystko to było teraz równie odległe jak gwiazdy. Zamarł z pyszczkiem nad skłębionymi włosami Viry, a choć oczy miał szeroko otwarte, nie widział niczego.

Tymczasem Tariro po raz ostatni zerknęła na przywoływacz. Pyrriven nie odpowiadał, wobec czego cisnęła kamień na ziemię i dopadła do siostry. Odwróciła ją delikatnie na plecy. Zadrzała na widok poranionej twarzy, powiek sklejonych krwią i ust zastygłych w wyrazie cierpienia. Zachłysnęła się powietrzem jak tonąca, w ostatniej chwili tłumiąc szloch. Nie miała czasu na rozpaczanie, teraz musiała myśleć i działać.

Przyłożyła policzek do piersi siostry, zbliżyła dłoń do jej ust. To były chyba najdłuższe sekundy w jej życiu, ale wreszcie zyskała pewność. Spłynęła na nią niewymowna ulga.

– Żyje.

Przyłożyła rozdygotane dłonie do twarzy i wzięła głęboki wdech. Wiedziała, że tylko jej spokój może teraz uratować Virę. Jej ciało było tak poranione, że Tariro nie potrafiła zdecydować, od czego zacząć. Nie знаła się na leczeniu, nigdy nie wyszła poza podstawy.

*Kryształ.*

Ta myśl rozbłysła w jej głowie z taką mocą, że na jeden krótki moment całkowicie ją oślepiła. Czy to możliwe, że naprawdę tu był? Z kim walczyła Vira? Czy to byli Welimowie?

Jeżeli mają teraz dwa kryształy...

Strach niemal rozerwał jej płuca – a kiedy powróciła rzeczywistość, nadzwyczaj wyraźnie ujrzała własne dłonie zawieszony nad poranionym ciałem siostry.

Gdzieś z boku zaszurał żwir, w powietrze wzbił się obłok pyłu. Tariro poderwała głowę i zogniskowała zamglone spojrzenie na Vincencie.

– Nikogo nie widzę – zameldował puchacz.

„Pokonała moją barierę”, przemknęło jej przez myśl. „Stoczyła dwie mordercze walki, a na koniec zdołała się jeszcze przebić przez barierę”.

– Całe szczęście – powiedziała na głos. – Posłuchaj mnie teraz uważnie. – Zdziwiła się, bo zabrzmiało to pewnie i stanowczo. – Wyślę cię do rezydencji Pyrrivena. Powiesz, że potrzebuję go tutaj, na miejscu. Natychmiast. Niech skorzysta z mojego przywoływacza. I najważniejsze: niech weźmie ze sobą eliksir wzmożenia. Wzmożenia, zapamiętasz? Wzmożenia.

Vincent skinął głową i wskoczył do tunelu, który dla niego otworzyła. Nadeszła kolej na Donata, milczącego, nieruchomego, brzydko mrużącego ślepią. Nie musiał nic mówić, Tariro doskonale wiedziała, co myśli.

– Ciebie wyślę do pałacu – oznajmiła najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było ją stać. – Pyrriven może być w swoim gabinecie, sprawdź też pracownie alchemiczne. Po prostu go znajdź. I pamiętaj: eliksir wzmożenia.

Kocur nie zareagował, ale wiedziała, że ją zrozumiał. Gdy tylko otworzyła dla niego portal, rzucił ostatnie spojrzenie na Virę i zniknął w plamie jaskrawozielonego światła.

Tariro ostrożnie ścisnęła siostrę za palce, a drugą dłoń położyła na jej ramieniu. Teraz, kiedy została sama, poczuła łyzy cisnące się do oczu, a zaraz potem spływające po policzkach. Usta same szeptały przeprosiny, kiedy sączyła w ciało siostry ożywcze ciepło i równocześnie zaklinała ją w myślach, żeby wytrzymała jeszcze chwilę dłużej.



## Rozdział 2

Dann niechętnie przełknął kolejny łyk piwa. Nie chodziło nawet o to, że cuchnęło jak doprawione rdzą szczyny. Czuł, że trunek zaczyna mu uderzać do głowy, a bardzo nie chciał być pijany. „Może to też trzeba było ćwiczyć”, pomyślał z ironią. „Zamiast ślęczeć nad mapami, mogłem zaprawiać się w boju po karczmach i gospodach”.

Jego kompani ryknęli śmiechem, a on zmusił się, żeby im zawtórować. Od tej sztucznej wesołości bolała go już szczęka. Wiedział, że zamiast się uśmiechać, wykrzywia tylko twarz w nieprzekonującym grymasie, dlatego chował się za uniesionym kubkiem – a skoro już go podnosił, to musiał z niego pociągnąć. Zresztą i tak by tego nie uniknął. Dziś pili wszyscy. Na umór. Gdyby nie pił, zwracałby na siebie uwagę. Jeszcze bardziej niż teraz.

Karczmę przepelniał niemożliwy smród – każdy z kilkudziesięciu mężczyzn, którzy gęsto obsiedli stoły, cuchnął starym potem i przetrawionym alkoholem. Wyziewy gotowanej kapusty mieszały się z wonią zawilgoconych skór, starego potu i parujących rzygów. Choć drzwi i okna stały otworem, wpuszczając do środka chłód deszczowego wieczoru, to wewnątrz panował uciążliwy zaduch. Dann cały się kleił od potu.

Siedział nieopodal drzwi, na ławie pod ścianą, ściśnięty jak śledź w beczce. Ze swojego miejsca miał dobry widok na odległy kąt izby, który z pewnych względów interesował go szczególnie, poniekąd z wzajemnością. Siedzący tam mężczyzna obserwował go uważnie przez cały dzień, a jego dwaj towarzysze byli najwyraźniej

wtajemniczeni w sprawę. Dann wnioskował to stąd, że ilekroć ryzykował szybkie spojrzenie w tamtą stronę, napotykał wzrok któregoś z nich. Zwali się chyba Geor, Savet i Tador, albo coś w tym rodzaju; Dann miewał problemy z welimskimi imionami. Niepokoiło go, że wszyscy trzej pili z rażącym umiarkowaniem, takie przynajmniej odnosił wrażenie. Nie chciał im się przyglądać, bo to jedynie wzmogłoby ich podejrzliwość. Zmuszał się zatem do słuchania ubarwionych historyjek i przasných żartów, opowiadanych przy jego stole, i rechotał wraz z innymi, choć nie zawsze wszystko rozumiał, a jeszcze rzadziej uważał za zabawne.

Najważniejsze to nie wypaść z roli. Do samego końca.

Nadszedł czas, żeby się wycofać. Wrócić do „swoich”, o ile miał w ogóle jakichś swoich. Przez cały dzień wyczekiwał zapadnięcia zmroku. Przez cały dzień żywił nadzieję, że wyznaczą go do wartowania, bo wtedy nie musiałyby przemykać pod nosem strażników. Trudno nie hałasować, kiedy przedzierasza się przez las z koniem, i to po ciemku. O ileż prostsze miałyby zadanie, gdyby sam pełnił wartę. Był bliski zgłoszenia się na ochotnika, ale powstrzymała go świadomość, że dla Geora wyglądałoby to naprawdę podejrzanie. Oczywiście nie miał szczęścia i dowódca pominął go przy wyborze.

Robiło mu się gorąco na samą myśl o ucieczce, tymczasem chwila ta zbliżała się nieubłaganie. Ciemniej już nie będzie, a towarzystwo osiągnęło wystarczający poziom upojenia. Przy stole naprzeciwko jeden z mężczyzn zasnął z głową na brudnym talerzu, wśród resztek kapusty klejących mu się do brody. Ci z jego kompanów, którzy jeszcze stali na nogach, mieli świetną zabawę, próbując go obudzić pierdami puszczanymi tuż przy uchu. Ich wysiłki niezmiennie szły na marne, chyba że zadowalała ich nagroda w postaci wybuchów śmiechu, gwizdów i oklasków.

Przy tym samym stole siedział Loeg, młody dowódca oddziału. Ze swoją rzadką bródką wyglądał jak koziołek zabłąkany wśród starych capów. Dann zerknął na niego akurat w momencie, kiedy

tamten podniósł głowę, i ich spojrzenia spotkały się. Dann skinął mu głową i uniósł kubek nieco wyżej. Loeg wyszczerzył zęby, odwzajemnił gest i wrócił do rozmowy z siedzącym obok czarodziejem. Dann zmierzył obu wzrokiem. Geor raczej nie opowiedział dowódcy o wczorajszym zajściu, bo tamten odnosił się do niego całkiem zwyczajnie. Z kolei czarodziej był kompletnie ubzdryngolony, co dodało Dannowi krztynkę otuchy.

„Pora już na mnie”, pomyślał. „Komu w drogę, temu czas”.

Przeniósł wzrok na trójeczkę w kącie. Chyba stracili zainteresowanie, bo łypał na nich przez dłuższą chwilę, a żaden nie odwzajemnił spojrzenia. Teraz albo nigdy.

Pociągnął ostatni łyk, tym razem dla kurażu, i wstał, mrużąc, że zaraz wraca. Musiał się rozpychać łokciami, żeby dobrnąć do drzwi, a jednak nikt nie zwrócił na niego większej uwagi.

Otrzeźwiał, gdy tylko owionął go zimny wiatr. Na placu przed karczmą płonęły wielkie ogniska, a każde otaczał wianuszek świętujących Welimów. Również tutaj zabawa trwała w najlepsze, właśnie siłowano się z kolejną beczką piwa. Nieco dalej obnażony do pasa tłuszczoch wymachiwał kuflem i wykrzykiwał płomienne przemówienie, a półprzytomni słuchacze wtórowali mu pełnym aprobaty bełkotem. Zewsząd dobiegały fałszywe dźwięki piszczałek, tu i ówdzie dało się też słyszeć donośne beknięcie.

Dann skierował się na prawo, ku niewielkiej stajni oddzielonej od gospody zadaszonym, cuchnącym szczynami przejściem. Wrota były zamknięte, ale tym akurat nie przejął się wcale. Stajnia, jako przytulniejsza niż podwórze, była zarezerwowana dla ludzi. Zwierzęta uwiązano na zewnątrz.

– A dokąd to? – Zza węgła wychynął młody chłopak, omal nie wpadając na Danna. Poprawił spodnie, skrzyżował ręce na piersi i zadarł wyzywająco brodę. Wyglądał na podchmielonego, choć Dann sam słyszał, jak zakazano mu dzisiaj pić, bo miał pilnować koni i prowiantu. Czuł, że tak właśnie będzie, i bynajmniej nie miał do młodzieńca żalu.

– Odląć się – odparł spokojnie, wymijając go.

– Tylko bez podkradania! – zawołał jeszcze tamten, po czym sprawnie obrał kierunek na najbliższe ognisko, zadowolony, że wypełnił powierzone zadanie, i to zupełnym przypadkiem.

Tymczasem Dann skręcił za róg budynku i wszedł między pobliskie drzewa. Zaszyty w głębokim cieniu, długo przepatrywał ciemność i nasłuchiwał. Nic nie wskazywało na to, żeby miał towarzystwo, więc podążył dalej, zachowując bezpieczną odległość od końskich zadów.

Zwierzęta stały rzędem wzdłuż dłuższego boku stajni. Belki konowiazu posłużyły również do zawieszenia juków i uprząży. Spadzisty dach dawał namiastkę ochrony koniom oraz upchany pod ścianą workom z prowiantem.

Wymowne prychnięcia powiedziały Dannowi, że zwierzęta wyczuły już jego obecność. Posuwał się ostrożnie, nie chcąc ich przestraszyć. Dotarłszy na koniec rzędu, obszedł ostatniego konia, chwycił go za kantar i pogłaskał po chrapach.

– Będziemy bardzo cicho, dobrze? – szepnął mu do ucha.

Uklęknął na jedno kolano i zamachał przed sobą rękoma. Było ciemno, że oko wykol, więc musiał zdać się na zmysł dotyku. Natrafiwszy dłonią na szorstkie płótno, dokładnie obmacał worek. No tak, mógł się tego domyślić. Owies, placki i suszone mięso upchnęli do środka, na zewnątrz zostawili jabłka, które zebrali w nowo zagrabionych sadach. Trudno, będzie jadł jabłka. Byle tylko dotrzeć do granicy i nie umrzeć po drodze z głodu.

Namacał przed sobą uprząż. Dłuższą chwilę zajęło mu odszukanie jedyne go siodła, jakim dysponował oddział; Welimowie używali go zresztą wyłącznie do juczania koni, bo jeździć nie potrafili. Po omacku osiodłał zwierzę i przytroczył worek. Na szczęście świeżo upieczony wierzchowiec okazał się spokojny i praktycznie nie zwracał uwagi na kręcącego się przy nim człowieka.

Pozostawała jeszcze kwestia wartowników. Powinien wyeliminować co najmniej dwóch, ale tak, żeby nie zdążyli nawet pisnąć.

Najlepiej będzie zbliżyć się do nich otwarcie, zagadać, a w odpowiednim momencie poderżnąć gardło.

Schylił się, żeby wydobyć sztylet z ukrytej w cholewie pochwy, ale zaraz padł na czworaka i wytężył słuch. Rozmowa. Daleka, lecz coraz bliższa.

– Ale jaa-a... ja po prostu nie roo-rozumiem... o co mogło cho-chozić. Niby czemu...

– Ja też nie. I dlatego mówiłem, żebyście tyle nie chlali.

– Pszczeciesz sam ch-chlałeś...

– Bo wy chlaliście. A teraz stul pysk.

Dann spojrzął pod końskimi brzuchami w kierunku, z którego sam przed chwilą nadszedł. Po wydeptanej trawie sunęła plama światła, czasem oświetlając pnie pobliskich drzew. Od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Jednak nie byli aż tak pijani i niezainteresowani, jak pragnął wierzyć. Zauważyli, że zniknął, i postanowili to sprawdzić.

Wykorzystał ten krótki czas, jaki mu pozostał, na poluzowanie uwiąz. Koń był gotowy. Pozostało załatwić sprawę trzech wrogo nastawionych mężczyzn, najlepiej bez walki, następnie dyskretnie pozbyć się wartowników, po czym wraz z koniem wymknąć się z obozu. Pestka.

Przelazł pod konowiazem, przysiadł na wypchanych jabłkami workach i sięgnął po sztylet. „Sam jesteś sobie winny”, sarknął w myślach, rozcinając w pośpiechu najbliższy worek.

„Pieprzony bohaterze”.

\* \* \*

Wszystko wzięło w łeb poprzedniego dnia, kiedy wczesnym wieczorem zaatakowali elficką wioskę położoną tuż za Adosą, mniej więcej w połowie drogi między Alkemer i Cynedin. To był koniec

lata, dni kurczyły się w przeczuciu jesiennego chłodu, zmrok zapadał szybko. Całkowicie zaskoczyli wieśniaków. Większość z nich wróciła już do domu po całym dniu ciężkiej pracy. Kiedy z lasu wypadła banda dzierzących topory Welimów, było za późno na zorganizowanie jakiegokolwiek obrony. Przechodząca kobieta podniosła krzyk, który ustał gwałtownie, kiedy w jej piersi utknęło celnie ciśnięte ostrze. Zaalarmowani mieszkańcy wychodzili przed drzwi, żeby sprawdzić, skąd ten harmider, i wkrótce wrzaski przerażenia niosły się po całej osadzie. Strzecha najbliższego domu, zarzucona pochodniami, błyskawicznie stanęła w ogniu. Blask pożaru wywlekał z wieczornej émy sylwetki uciekających elfów, wprost pod noże i topory najeźdźców.

Dann spędził wśród Welimów pół roku. Radził sobie jakoś ze świadomością, że wystarczy najmniejszy błąd, a może nieszczęśliwy zbieg okoliczności, żeby zorientowali się, że jest kimś z zewnątrz, obcym. Potrafił wyprzeć z umysłu wyobrażenia na temat tego, co mogą z nim wtedy zrobić. Nie narzekał na znojną pracę w polu, na ścinanie drzew, żmudne piłowanie gałęzi i ciosanie desek. Nie przeszkadzały mu całodzienne marsze w mokrych butach, nie przeszkadzało nocowanie pod gołym niebem. Wszechobecny brud i smród. Nie miał nawet nic przeciwko paleniu i rabowaniu. Jedyne, czego naprawdę nie potrafił ścierpieć, to mordy na zwykłych elfach.

To prawda, że nie był czysty jak łąza. Swoje za uszami miał. Ale chociaż osiągnął mistrzostwo w zagłuszaniu sumienia, to nie był go zupełnie pozbawiony. Widok zgrai barbarzyńców wpadających do domostw, aby zarzynać mężczyzn, kobiety i dzieci, napawał go odrazą. To były te chwile, kiedy najbardziej gardził Welimami, kiedy prawdziwie ich nienawidził, choć przecież już dawno przyznał sam przed sobą, że potrafi ich zrozumieć. Co gorsza, musiał w tym wszystkim uczestniczyć. Był przecież jednym z nich.

Od kiedy przeniknął między Welimów, wszystko, czego pragnął, to przeciętność. Chciał być bezbarwny, przezroczysty. Chciał, żeby

prześlizgiwano się po nim wzrokiem, żeby na jego słowa kiwano głową i natychmiast zapominano. Żeby uznawano go za naturalny element krajobrazu. To oznaczało, że nie mógł się wyróżniać, również podczas walki: czy to pokazowym męstwem, czy to nadmierną biernością. W przeciwieństwie do Welimów nie miał żadnego interesu w wyrzynaniu elfów, toteż niezgrywanie bohatera przychodziło mu łatwo. Gorzej było ze zmuszaniem się do działania.

Ostatecznie ignorował głosy zaciekle protestujące w jego głowie, próbujące odwieść go od udziału w rzezi. Pewna część świadomości po prostu kapitulowała, oddając wodze najbardziej żelaznej logice, skupiając się wyłącznie na przeżyciu. Działał wtedy jak we śnie. Głowa sama się obracała. Oczy same wypatrywały łatwej ofiary. Kolana podnosiły się z własnej inicjatywy, ciągnąc za sobą stopy, które same wiedziały, gdzie stawiać kolejne kroki. Dłoń zaciskała się na broni, ręka zginała w łokciu i wędrowała do góry. Całe ciało żyło nagle własnym życiem. Doganiało, rąbało, powalało, kłuło, cięło, miażdżyło. Zabijało.

Po pierwszej wiosce myślał, że nigdy sobie tego nie wybaczy. Potem doszedł do wniosku, że dla umierających elfów jego rozterki nie mają żadnego znaczenia. Byli skazani na śmierć, a to, czy mordercą jest lestyjski szpieg, czy jeden z barbarzyńców, nie zmieniało niczego. Tak jak na nic im się zdały jego nieprzespane noce.

Tego wieczora również gotów był mordować. Wybiegł wraz z innymi na wydeptany wiejski plac, otoczony prostymi budynkami z drewna i gliny. Welimowie na wypródki rzucili się na najbliższe domy, wyważając drzwi i wpadając do środka. Dann nie chciał być ani pierwszy, ani lepszy. Zatrzymał się przy studni, mniej więcej pośrodku placu, i spokojnie rozejrzał dokoła. W świetle pochodni zauważył wąską drogę biegnącą na południowy wschód. Nikogo innego nie zainteresowała, więc postanowił zabić trochę czasu, badając okolicę. Ruszył w tamtym kierunku, uważając, żeby nie zostać stratowanym albo nie dostać przypadkiem siekierą.

Na ścieżce stwierdził, że niewiele zostało do zrobienia. Wieś nie porażała rozmiarami, wielu Welimów zdążyło go wyprzedzić i dobiec do dalej położonych gospodarstw; widział ulotne smugi zostawiane w ciemności przez ich pochodnie. Niestety, nie dotarli jeszcze wszędzie. Przed sobą, po lewej stronie drogi, spostrzegł domostwo, które nadal czekało na swoją kolej. Z ociąganiem powlókł się w jego stronę.

Szedł wzdłuż lichego płotka ze splecionych gałęzi. Latem ten ogrodzony skrawek ziemi służył zapewne za ogródek. Czy rosły w nim kwiaty, czy warzywa? Odruchowo potrząsnął głową. Nie chciał wyobrażać sobie życia, które za jego sprawą dobiegnie zaraz końca.

Był już przy drzwiach, kiedy usłyszał za sobą szybkie kroki. Odwrócił się, mocniej zaciskając dłoń na uchwycie topora. Ktoś biegł ścieżką, ścigany przez dwie inne postacie z pochodniami w rękę. Dann nie pozwolił sobie na wahanie. Zgięty wpół, przycisnął się za płotkiem, a w odpowiednim momencie wyskoczył na drogę. Podciął uciekającemu nogi, powalając go na ziemię, po czym błyskawicznie podniósł się na kolana i na osłep zamachnął toporem. Ostrze wbiło się głęboko, a on poczuł na twarzy krople krwi. Elf krzyknął rozdzierająco i spróbował się czołgać. Dann wymierzył kolejny cios, i jeszcze jeden, aż wreszcie mężczyzna znieruchomiał.

Z wdzięcznością powitał chwilę ciszy, która nastąpiła, gdy przebrzmiał jego ostatni charkot.

Tymczasem tuż obok wyrosły dwie wysokie sylwetki. Dann zadarł głowę i zobaczył nad sobą twarz Loega.

– Dobra robota – pochwalił dowódca, wyciągając prawicę, żeby pomóc mu wstać. – Skurwysyn zaciukał naszego. Sprawdź jeszcze tam, widziałem z daleka dym.

Wskazał ręką na las po drugiej stronie ścieżki, a sam podbiegł do chaty, z tym drugim nieodstępującym go na krok. Rozległ się głuchy odgłos buciorów walących o drewno. Dann nie czekał na rozwój wypadków.



Wszedł między drzewa. Zakładał, że trochę się naszuka, ale bardzo szybko poczuł zapach dymu, a zaraz potem dostrzegł świetliste pęknięcia w ciemności, cienkie jak zwężone kocie źrenice. To ogień płonący na domowym palenisku prześwitywał przez szczeliny. Dlaczego go nie zgasili?

Zbliżył się do chaty, bez szczególnego pośpiechu, i rozejrzał wokoło. Daleko po prawej, bliżej ścieżki i centralnego placu, dostrzegł kolejne domostwo. I tam Welimowie jeszcze nie dotarli. Czy istniała szansa, że mieszkańcy usłyszeli odgłosy masakry i zapadli w las?

Nacisnął lekko na drzwi, żeby sprawdzić, czy są otwarte. Były. Wziął to za dobry znak. Przygnał plecami do ściany, tuż przy zawiasach, i mocnym pchnięciem otworzył drzwi na całą szerokość. Nie zobaczył nikogo. Na spotkanie wyszła mu jedynie rozgdakana kura, która przebiegła obok i momentalnie zniknęła wśród drzew. Dobrze kombinowała, pomimo tego nie wróżył jej długiego życia.

Wziął głęboki wdech i wpadł do środka, z miejsca wciskając się w odchylone skrzydło drzwi. Wnętrze, ciemne i duszne, śmierdziało gnojem, stęchlizną i gotowanymi warzywami. Jedyнным źródłem światła było ognisko płonące pod żeliwnym kociołkiem; rzadki dym uciekał przez otwór w dachu. Na prawo od wejścia rozróżnił stół i ławę, powyżej biegł sznur obwieszony bielizną. Bielizna ociekała wodą, słyszał krople spadające na blat, kap, kap, kap. Po glinianym klepisku biegło stadko zdeorientowanych kur.

W pierwszej chwili uznał, że naprawdę jest sam, i nawet odechnął z ulgą. Dopiero kiedy podszedł do paleniska, zobaczył, że zalegający w kącie cień skrywa niewygodną tajemnicę.

W najdalszym rogu, wprost na ziemi, leżał spory siennik, a na nim, wciśnięta w ścianę, siedziała z podkurczonymi nogami elficka kobieta. Dann wyłowił w półmroku jej złknięte spojrzenie i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Dopiero potem zrozumiał, że nie jest sama. Przyciskała do siebie dwie małe postacie, skulone po jej bokach.

Dann przymknął powieki. Zachciało mu się wyć.

Przerastał go absurd tej sytuacji. Spotykali się po raz pierwszy, dwie myślące, czujące istoty, które nic o sobie nie wiedziały, nie znały swoich imion, nie zamieniły choćby jednego słowa – a jednak miał pozbawić ją wszystkiego, dosłownie wszystkiego, w wyniku długiego łańcucha przyczyn i skutków, którego bieg trudno byłoby prześledzić, a z którym elfka na pewno nie miała nic wspólnego. Podobnie jak on sam.

Kiedy rozwarł powieki, widział jak przez mgłę. Ona też patrzyła na niego inaczej. Jakby przestała go dostrzegać. W jej oczach czaił się obłąd.

Stał jak sparaliżowany. Coś takiego przytrafiało mu się po raz pierwszy. Wolałby, żeby go zaatakowała, bo wtedy mógłby sobie powiedzieć, że się broni. Żeby krzyczała albo błagała, bo wtedy mógłby ją uciszyć. Albo żeby kuliła się ze strachu, zasłaniając uszy, bo wtedy nie widziałby jej twarzy.

Popenił błąd, przychodząc tu sam. Gdyby ktoś mu towarzyszył, nie mógłby stanąć w pół kroku, nawet nie zdążyłby się zawahać. Teraz było już za późno.

Bo zaczął się wahać.

Zaczął rozważać możliwości. I zanim skończył, był już z powrotem na progu, wyglądając na zewnątrz. W oddali płynęły pochodnie, ale tego zakątka Welimowie jeszcze nie odkryli.

– *Jokse!* – zawołał do elfów, wzmacniając przesłanie znaczącym gestem.

Kobieta powinna go zrozumieć, nie doczekał się jednak żadnej reakcji. Wrócił do paleniska.

– *Jokse! Kiresti!*

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem. Być może nie dotarło do niej, że mówi w jej własnym języku. Tymczasem jedno z dzieci podniosło się na łokciu, żeby spojrzeć na nieproszonego gościa. Chłopiec, na oko dziesięcioletni. Nawet jeśli zrozumiał rozkaz, nic z tego nie wynikało. Cała trójka wciąż tkwiła w miejscu.

Dann usiłował sklecić jakieś dłuższe zdanie, ale z trudem odszukiwał w pamięci dawno nie używane wyrazy. Zresztą co jest niezrozumiałego w słowach: „uciekać, szybko”?!  
– *JOKSE!* – ryknął, licząc, że w ten sposób wyrwie ich z odretwienia.

Kobieta drgnęła i mocniej przycisnęła do siebie dzieci. To mniejsze, zwrócone do niego plecami, uniosło się niezgrabnie, żeby objąć matkę za szyję i wtulić twarz w jej włosy.

Dann zaklął i wrócił na próg. Welimowie zbliżali się już do sąsiedniego budynku. Ogarnęła go rozpacz, rozpacz, ale i złość, na elfy i samego siebie. Mógł być bardziej stanowczy, mógł ich stąd wyciągnąć siłą. Teraz było już za późno, teraz będzie musiał zabić. Welimowie nie mogą go tu zastać z żywymi elfami.

Zdecydowany, wrócił na środek chaty, tym razem postępując o dwa kroki dalej – po czym stanął jak sparaliżowany. Topór niemal wyślizgnął się ze spoconej, drżącej dłoni. Nie potrafił spojrzeć w stronę siennika.

Jak dotąd udawało mu się unikać dzieciobójstwa. Patrzył beczynnym, jak inni zarzynają niemowlęta i dzieci, ale mógł sobie wmawiać, że sam jest od tego daleko. Łudził się, że tak będzie już do końca, tymczasem życie po raz kolejny udawało mu, że jest tragicznie, nieuleczalnie naiwny.

Wziął głęboki wdech i zaczął liczyć. Powoli. Do dziesięciu. Potem to zrobi.

Raz.

Dwa.

Trzy. Dobrze, że nie liczy do trzech.

Cztery.

Podobno cuda się nie zdarzają, a jednak właśnie w tym momencie na zewnątrz zerwał się wiatr – i oto zaszumiały liście, zaklekotały gałązki, a Dann poczuł na twarzy podmuch chłodnego powietrza.

Czy to okno? Czy tylko szczelina?

Niewiele myśląc, wyszukał pod garem porządne bierwiono i wyciągnął daleko przed siebie. Jednak okno. Niewielkie, umieszczone raczej wysoko. Z okiennicą skleconą z desek, zabezpieczoną na noc poprzeczną belką.

W jego głowie natychmiast zrodził się prosty, przejrzysty plan. Trudno, nie zdoła ocalić kobiety. To nawet lepiej, trup będzie dobrze wyglądał, kiedy wejdą tu Welimowie. Ale nie splami sobie rąk krwią dzieci.

Rzucił żagiew i topór na klepisko, schował sztylet do pochwy i otworzył okiennicę na oścież. Stanowczym krokiem podszedł do elfów, które stuliły się jeszcze ciasniej, i złapał starszego dzieciaka pod pachy. Kobieta krzyknęła i chwyciła syna za rękę, ale puściła, brutalnie kopnięta w biodro. Unoszony chłopak machał nogami, ale nic tym nie wskórał; próbował wrzeszczeć, ale Dann zasłonił mu usta dłonią.

– *Ole tasa, voi te koik surete* – syknął mu jeszcze do ucha.

„Bądź cicho, albo wszyscy umrzecie”.

Elf przestał wierzczać, ale nadal wykręcał głowę ku matce. Dann siłą wypchnął go przez okno, nogami do przodu, twarzą do nieba. Mały spadł na tyłek, objijając sobie potylicę o ścianę, ale prędko zerwał się na nogi i dopadł do okna. Czubkiem głowy ledwo sięgał do jego dolnej krawędzi.

– *EMME!*

– *Ota sin* – wycedził Dann. – *Vaiksel!*

„Czekaj tutaj. Cicho”.

Wrócił do kąta i schylił się po drugie dziecko. Było malutkie, mogło mieć ze dwa, trzy latka. Chwycił je pod pachy i spróbował unieść, ale kobieta trzymała mocno, nie zamierzając go oddać.

– Puszczaj, głupia babo – wycedził Dann, nieświadomie przechodząc na lestyjski. – Tak bardzo chcesz zabrać je ze sobą?!

Dziecko uderzyło w płacz. Dann jedną ręką zasłonił mu usta, a drugą objął w pasie i pociągnął ku sobie. Kobieta natychmiast

podniosła się na kolana i zaczęła mocować z Dannem, jakby przeciągali linę. Dziecko szlochało spazmatycznie, całe to szarpanie mogło się dla niego źle skończyć. Zresztą nie tylko dla niego.

Przez okno nieustannie dobiegało ciche wołanie chłopca:

– *Emme! Emme! Emme...*

Dann zacisnął zęby. Jego desperacja powoli przeradzała się w złość. Czas uciekał, to nie była pora na zabawę.

Na miękkim sienniku trudno było zachować równowagę, ale zdołał wymierzyć babsku kopniaka pod żebra. Zdawało się, że nawet tego nie poczuła. Obnażyła zęby jak rozwścieczona wilczyca, całym swoim ciężarem uwiesiła się na dziecku i pociągnęła je w dół, a wraz z nim Danna, który wylądował na kolanach. Rzuciła się jak ryba i dopadła szczękami jego nadgarstka. Wrzasnął i cofnął rękę, a elfka przycisnęła do siebie malca i zaczęła wierzgać na osłep. Trafiony w pierś, Dann poleciał do tyłu, lądując na klepisku. Elfka pełzła już w przeciwnym kierunku, wlokąc za sobą dziecko, usiłując wcisnąć się w kąt, jakby tam właśnie mogła znaleźć ocalenie. Dzieciak rzeźił jak wisielec łapiący oddech w przedśmiertnych podrygach.

Dann zaczerpnął głęboko powietrza. Jego wściekłość właśnie zmieniła temperaturę – teraz była zimna. Zdecydował, że pomoże tej kobiecie, że ocali jej dzieci, i ani myślał pytać jej o zdanie. Skoro musi złamać jej opór, zrobi to. Do tej pory był tylko i wyłącznie miły.

Do tej pory widział w niej ofiarę. Teraz zobaczył przeciwnika.

Stanął pewnie na nogi i zerknął na drzwi. Ciemność. Dobrze. Jeszcze zdąży.

Elfka odpełzła w najgłębszy mrok, ale wystarczyło odrobinę się przesunąć, żeby w jej tęczówkach zatańczył ogień. Patrzyła na niego inaczej niż wcześniej. Twardo, z nienawiścią. Niemal wyzywająco.

Ale on też się zmienił.

Znalazł się przy niej w dwóch krokach, tym razem sięgając po dłoń. Duże i szorstkie, jak na chłopkę przystało, mimo wszystko

były dłońmi kobiety; wystarczyło mocniej ścisnąć, żeby zaczęły mięknąć, ustępować. Już miał je oderwać od dziecka, kiedy w ostatniej chwili, palcami zakrzywionymi jak szpony, uczepliły się jego ubranka. Elfka wcisnęła się w siennik i znów desperacko wywijała nogami, ale kilka mocnych kopniaków usadziło ją w miejscu. Dann zdołał objąć malucha i zasłonić mu usta, jednak kobieta nadal nie zwolniła chwytu, choć musiała już wyciągać ramiona. Wtedy stracił resztki cierpliwości. Szarpnął małym ciałkiem, brutalnie wyrrywając je z kurczowego uścisku, po czym spadł butem na brzuch elfki, wgniatając ją w siennik. Zacisnął wolną rękę w pięść i wymierzył jej potężny cios w twarz. Chrzęstnął miażdżony nos, a kobieta wyrznęła głową o ścianę i zwiędła, zamroczona bólem. Teraz mógł już bez przeszkód porwać maleństwo i wyrzucić przez okno. Starszy chłopak nadal tam stał, nieruchomo, z zadartą głową. Na tle ciemnego lasu zalana łzami twarz świeciła jak błądy księżyc.

– *Aita mind!* – wysyczał przez zęby Dann.

„Pomóż mi”.

Uniósł berbecia, tak żeby brat mógł zobaczyć jego wierzgające nóżki, i wystawił za okno. Chłopak chyba zrozumiał, czego się od niego oczekuje, bo nagle malec stał się jakby lżejszy. Dann zaryzykował i puścił go zupełnie. Dobiegł go krótki okrzyk, a potem głuchy odgłos upadku. Wyjrzał na zewnątrz. Ten starszy prędko zerwał się na nogi i pochylił nad młodszym. Dann syknął niecierpliwie.

– *Jokse!*

To miał być głośny szep, wyszedł cichy okrzyk. Elf uniósł twarzączkę na obcego mężczyznę, ale nadal tkwił w miejscu, jakby na coś czekał.

– *Jokse!* – szepnął Dann, tym razem miękko, błagalnie.

Chłopak nareszcie zrozumiał.

Słuchając cichnącego trzeszczenia liści, Dann poczuł lodowaty uścisk w sercu. Czy dwoje małych dzieci ma szansę przetrwać samotnie w lesie? Na terenie, po którym grasowały zbrojne bandy,

skrupulatnie unicestwiający każdego napotkanego elfa? Doskonale znał odpowiedź.

Nagle poczuł palący wstyd. Skazał te dzieciaki na dni, a może tylko godziny, wypełnione strachem, zimnem i głodem. Nie uratował ich. Uratował co najwyżej siebie.

„A może”, pomyślał w dzikim przyptywie nadziei, „może zdolają dotrzeć do najbliższej wioski i ostrzec mieszkańców”.

Ciche skamlenie przypomniało mu, że ma w tym miejscu jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Teraz już bez wahania odsunął się od okna i zatrzasnął okiennicę. Odwrócił się do elfki, sięgając po sztylet, lecz naraz znieruchomiał. Wnętrze chaty było jaśniejsze niż zapamiętał. Powoli, bardzo powoli przeniósł spojrzenie na drzwi. Pomiędzy ciemnością nocy a żarem paleniska stał postawny mężczyzna z pochodnią w ręku. Dann dobrze widział jego twarz.

W jego głowie natychmiast zaroilo się od pytań. „Kiedy tu wszedł? Kiedy próbowałem wyrwać jej dziecko? Czy słyszał, jak mówię po elficku? Jak to możliwe, że go nie zauważyłem? A może widział tylko, jak wyglądałem przez okno?”

„Czy powinienem go zabić?”

Wiedział, że nie zdąży. Z Georem nie poradziłby sobie tak łatwo jak z zaskoczonym, nieuzbrojonym elfem. Na dodatek z zewnątrz dobiegały już nawoływania innych. Nie chciał, żeby znaleźli go w chacie z trupem Welima i żywą elfką.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Potem Dann wy dobył sztylet z pochwy i podszedł do kobiety. Jęknęła i zaszlochała, zasłaniając się ramionami. Wymierzył jej mocnego kopniaka pod żebra, odciągnął bezsilną rękę i zatopił ostrze w jej brzuchu.

Krzyknęła krzykiem, który znał już na pamięć. Poprawił, żeby skrócić jej cierpienia.

Wytań ostrze o siennik, wsunął z powrotem do pochwy i powoli się wyprostował. Bez pośpiechu, pewnym krokiem ruszył do wyjścia. Przystanął dopiero, kiedy zrównał się z Georem.

Bez skrępowania zajrzał mu w oczy.

– *Malnikai turri nikasse iz din draugas.*

„Dzieci nie mają z tym nic wspólnego”.

Geor nie odpowiedział. Dann odczekał kilka długich sekund, zanim odwrócił wzrok i ruszył dalej, w drzwiach wymijając kolejnego Welima. Obrął kierunek na plac ze studnią, głuchy i ślepy, odrętwiały i otumaniony. Nogi miał jak z ołowiu. Gorączkowo roztrząsał całą sytuację, odtwarzając w pamięci każdy swój gest, każde wypowiedziane słowo. Nagle stanął jak wryty. *Malnikai turri...?*

Nie *turri*. *Turrimai*.

\* \* \*

Najchętniej wycofałby się od razu, jeszcze tego samego wieczora, ale zanim sprowadzono konie, Loeg zdążył zagonić go do roboty. Ciała wieśniaków trzeba było zebrać i ułożyć w wielki stos na głównym placu. Parszywa robota, w sam raz na ukoronowanie parszywego dnia. Podzielili się na trzyosobowe grupy: dwóch do noszenia trupów, trzeci do przyświecania pochodniami. Sam plac uprzątnięto bardzo sprawnie, teraz zostało im chodzenie od chaty do chaty, wyszukiwanie ciał i taszczenie ich na wyznaczone miejsce. Dann w milczeniu powlókł się za towarzyszami do jednego z dalej położonych domostw. Przeszli po wyważonych drzwiach, kołysząc się na boki, jakby stąpali po dnie łodzi. Pierwsze, co zobaczył, to żar na dogasającym palenisku, potem szczątki glinianej miski. Potem zobaczył elfy. Całą rodzinę. Rodzice i czwórka dzieci, rozścielani wokół paleniska jak zżęte zboże. Na ławie pod ścianą – stara kobieta. Ze skronią opartą o ścianę i zamkniętymi oczami wyglądała, jakby spała.

Jeden z Welimów podrywał już z ziemi dwa małe truchelka. Bez trudu wsadził je sobie pod pachy, jak ojciec, który właśnie ujarzmił



dwójkę niesfornych brzdąców, żeby zatargać je do domu na kolację. Brakowało tylko śmiechu, pisków i radosnych prób ucieczki. Było w tej scenie coś nierzeczywistego – w wielkim mężczyźnie stojącym w rozkroku pośrodku ciemnej izby, w bezwładnie zwieszonych główkach dzieci i miękkim świetle pochodni głaszczącym ich włosy. Dann czym prędzej otrząsnął się z tego wrażenia; prawda była równie oczywista, co brutalna. Ponownie omiół wzrokiem trupy i podjął szybką decyzję. Bez słowa wyminął Welima i podszedł do staruszki, którą śmierć zastała w kącie chaty, opatuloną kocem, patrzącą z przerażeniem, jak jasnowłosi barbarzyńcy w skórach wyrzynają jej rodzinę.

Pochodnie miał teraz za plecami, więc nie widział jej twarzy. Pochylił się nad zwiędłym ciałem i dźwignął je wraz z kocem. Bezwładna głowa zaciążyła ku ziemi, spod koca wysunęła się sztywna ręka. Potem nie patrzył już w dół.

Tamci dwaj coś między sobą szeptali, ale Dann nie próbował włączyć się do rozmowy. Uważał jedynie, żeby nie zostać w tyle. Wokół słychać było ciche nawoływania, bliższe i dalsze; gdzie nie spojrzal, mrugały do niego płomienie pochodni, czy to pojedyncze, czy to zbite w stada. Zbieracze ciał krążyli głównie w pobliżu domostw, tymczasem dalej, w głębi lasu, kilkudziesięciu mężczyzn przeczesywało zarośla i przepatrywało korony drzew, szukając niedobitków, którzy mogli uniknąć masakry, wymykając się z wioski. Tak, Welimom bardzo zależało na dokładności. Ofensywa miała przebiegać szybko i sprawnie, bez zostawiania świadków, którzy mogliby ostrzec inne osady. Dlatego też specjalne oddziały dzień i noc patrolowały drogi i trakty, pola i lasy, mniejsze i większe ścieżki, robiąc wszystko, co konieczne, aby wieści wyciekały na wschód jak najwęższym strumieniem.

Dann ze ściśniętym gardłem obserwował światła zapuszczające się coraz głębiej w las. Niektóre były już małe jak świetliki. Jego myśli krążyły wokół dwójki dzieciaków, którym kazał uciekać, bo

nie zdobył się na podarowanie im szybkiej śmierci. Czy to mogło się udać? Teoretycznie dał im trochę czasu, a ten starszy musiał znać najbliższą okolicę, w końcu każde dziecko ma ulubione kryjówki. Może zaszyły się w jakimś zakamarku, a może odbiegły na tyle daleko, że nie dosięgną ich poszukiwania.

Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Dwoje spośród tysięcy nie zmienia niczego.

Niewątpliwie zrobił to dla siebie.

Po dotarciu na plac musieli jeszcze przepchać się do stosu, obleganego prawie jak beczka z winem. Tu było o wiele jaśniej, bo pochodnie wspomagały dziesiątki magicznych ogników. Stos nie był wysoki, a raczej długi i szeroki, bo Welimowie składali ciała ostrożnie, z rozmysłem, twarzą do góry. Dann postąpił teraz tak samo. Wchodząc między trupy, starał się wybierać drogę tak, żeby jak najmniej po nich deptać. Kątem oka widział inne chwiejne cienie, brodzące pośród śmierci niczym żurawie na bagnisku. Drzewa szumiały żałobną melodię, wiatr strzępił płomienie i splatał szepty żywych z odorem świeżej śmierci. Dann miał wrażenie, że od dołu ciągnie zimno, że jeśli opuści wzrok, napotka oskarżycielskie spojrzenia dziesiątek szklistych oczu.

Ułożył kobietę obok jednego z wnucząt. Wciąż patrząc prosto przed siebie, naciągnął jej koc na twarz. Tylko raz, kiedy odwracał się, żeby pójść za innymi, jego spojrzenie ześlizgnęło się w dół.

Blady księżyc.

Rozpoznał go od razu. Chłopak, któremu kazał uciekać, a tuż obok małeńkie ciało, które trzeba było wyrwać z ramion matki. Dopiero teraz widział wyraźnie, że to też był chłopczyk.

Zacisnął zęby i postąpił sztywno przed siebie, stawiając nogę między ramieniem starszego a głową młodszego.

Kiedy zniesiono wszystkie ciała, rozproszone światła zaczęły gasnąć, a do stosu podszedł czarodziej, Dorden. Niezbyt wysoki, chudy jak patyk i przyszczaty, z rzadkim wąsikiem i lichą kępką włosów

na brodzie. Jak zwykle podchmielony. Uniósł ręce, a we wnętrzu jego dłoni zatańczyły płomienie. Na ten sygnał pozostali Welimowie otoczyli stos. Czarodziej nawet nie rozejrział się na boki, nie interesowało go, czy ma widownię ani jak liczną. Przyłożył dłonie do pierwszego z brzegu ciała. Mokre ubranie zaczęło się tlić, a wkrótce zapłonęło żywym ogniem. Czarodziej obszedł cały stos, powtarzając tę czynność kilkanaście razy, aż wreszcie wszystkie trupy zamieniły się w jedną ogromną pochodnię, coraz żywiej strzelającą płomieniami, w miarę jak ogień wypalał sobie drogę w głąb.

Dann stanął bliżej niż zwykle, nie chcąc sprawiać wrażenia, że chowa się za innymi. Oddychał płytko i zaciskał zęby, z trudem powstrzymując wymioty. Smród palonych ciał wgryzał się w gardło i wykręcał żołądek; dym szczypał w oczy, popiół osiadał na włosach. Dann nienawidził tej ceremonii niemal równie mocno jak samego zabijania. Było w niej coś, co przyprawiało go o mdłości, napawało gniewem, a jednocześnie przerażeniem. Coś zupełnie obcego, jakby miał nieszczęście znaleźć się w głowie szaleńca. Mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą wdzierali się do domów, żeby zarzynać ich mieszkańców jak bydło, żeby rozłupywać czaszki i rozcinać brzuchy, ci sami mężczyźni stali teraz z pochylonymi głowami, ze wzrokiem wbitym w ziemię lub w ucztujące płomienie, aby w milczeniu oddać hołd umarłym. Jakby żegnali bohaterskiego wodza, a nie ofiary własnych ostrzy. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że to jakaś wyrafinowana, wyjątkowo cyniczna profanacja, ale Dann widział przecież, że większość zgromadzonych podchodzi do tego śmiertelnie poważnie. Wiedział, że Welimowie palą swoich zmarłych, ale wiedział też, że nie znają wojny. Czy zdecydowali, że będą traktować wrogów jak swoich? W końcu ciała poległych Welimów płonęły na tym samym stosie. Tylko dlaczego?

Dopiero potem, kiedy ogień przygasał, przypominał sobie, że to jeszcze nie było najgorsze. Bo w pewnym momencie czarodziej odwracał się i oddalał bez słowa, a pozostali traktowali to jako sygnał

do rozproszenia się. Szli powoli, nadal zachowując pełne szacunku milczenie, rozpalając kolejne pochodnie – z początku nieśmiało, niemal wstydliwie, później coraz odważniej – a kiedy światła było już pod dostatkiem, wchodzili do chat, obór i stodół, aby szukać swojej nagrody. Ciszę mąciły szepty, rozchodzące się jak kręgi na wodzie; szepty przechodziły stopniowo w mruczenie, coraz śmielsze, potem w rozmowy, coraz głośniejsze, aż wreszcie cała wymarła wioska rozbrzmiewała gwarem i śmiechem, niczym wielkomiński rynek w dzień targowy.

Ci sami mężczyźni, którzy przed chwilą chylili głowy przed śmiercią, zadaną własnymi rękoma, momentalnie zrzucali żalobę i gładko przechodzili do świętowania.

Tego wieczoru było podobnie. Część zdobycznych zwierząt od razu poszła pod nóż i Welimowie siedzieli przy ogniskach do późnej nocy, łączywie wpychając w siebie ledwo opieczone mięso, dopóki nie poczuli, że staje im w gardle. Dann starał się uczestniczyć w powszechnej wesołości, ale nadaremnie. Kiedy patrzył w ogień, żując mięso, albo kiedy przejmował kubek, by przytknąć usta do oblepionego tłuszczem brzegu, przed oczami nieustannie stawała mu twarz walczącej elfki. Najczęściej była to ta druga twarz, napięta, nienawidząca, zwierzęca. A potem przypominał sobie, jak miękko ostrze wchodziło w jej brzuch.

Noc spędzili w chatach, teraz już niczyich. Rankiem wyszli na szeroki trakt biegnący na północny wschód. Dowódca twierdził, że jeśli będą maszerować w przyzwoitym tempie, powinni dotrzeć do najbliższej wsi jeszcze tego wieczora. Po południu natrafili jednak na gospodę. Welimowie nie mieli pojęcia o dyscyplinie – gdyby nie Biały Kryształ, ich inwazja zatrzymałaby się na portowych tawernach – toteż przemarsz z miejsca zamienił się w huczną zabawę.

I tak oto Dann skończył za stajnią, skulony pośród worków z prowiantem, oko w oko ze znudzonym życiem koniem. Nie mógł pozwolić, żeby mężczyźni zauważyli osiodłanego wierzchowca,

dlatego postanowił ściągnąć ich uwagę na siebie. Zaczął przemykać na czworakach pod końskimi łbami, celowo robiąc jak największy hałas. Dla pewności kaszlnął i pociągnął nosem. Tak jak przewidywał, szybko padło na niego światło przenośnej latarni. Zatrzymali się mniej więcej w połowie długości stajni.

– A co to tam?! – zakrzyknął jeden.

– To pewnie on!

– Te, wyłaż! Żwawo! Z rękami do góry.

Odsunęli się na bezpieczną odległość, a Tador uniósł wysoko latarnię. Dann spełnił polecenie, spokojnie i bez pośpiechu. Wychnął spomiędzy koni, ściskając w uniesionych rękach dorodne zielonkawe jabłka. Jedno było nadgryzione. Dann ostentacyjnie przeżuwał owoc.

– *Hoi, hoi*, spokojnie! – Na spokoju zależało mu najbardziej. – O co tyle nerwów? O te kilka jabłek?

– Jabłek? – powtórzył powoli Savet.

Stali przed nim z toporami w rękach. Na pewno byli wstawieni, ale stabilnie trzymali się na nogach i nie mieli większego problemu ze skupieniem wzroku. Sądząc po ich minach i postawie ciała, szanse na to, żeby po prostu odwrócili się i odeszli, były nikłe.

– Niech wam będzie, że źle zrobiłem. Ale nie musicie o tym od razu rozpowiadać, co nie?

– Ż-że niby szukasz j-jabłek...? – Tador łypnął na niego spode łba.

– Nawet znalazłem. – Dann odgryzł spory kawałek. – Mam do nich słabość, i tyle.

– To tak jak do elfów – syknął Geor.

Zapadła pełna napięcia cisza, w której słychać było jedynie odległe ryki świętujących i mlaskanie Danna. Ten ostatni szybko odzyskał rezon.

– Powiedziałem ci wczoraj – burknął, udając nadąsanego. – Nie mogłem się zmusić do zabicia dzieciaków. Sam mam dzieci...

– Wszyscy mamy dzieci – przerwał mu ostro Geor. – Niby dla kogo to robimy?

Dann patrzył na niego beznamiętnie, jakby nie widział sensu w ciągnięciu tej rozmowy. Geor założył ręce na piersi.

– Dużo o tobie myślałem. – Charknął i splunął. – I wymyśliłem, że ani trochę mi się nie podobasz.

Dann głośno odetchnął.

– Uff, aż mi ulżyło. Tak mnie tutaj nachodziecie po ciemku, was trzech, a ja jeden...

– A że coś mnie tknęło, to polazłem za tobą – cedził dalej Geor – i tak sobie myślę, że to okrutnie dziwne, że zamiast podcierać się liściem, kręcisz się przy koniach. Niewiele z tego rozumiem...

– P-patrzcie tam – przerwał mu Savet, przechylając się niebezpiecznie i wskazując palcem przed siebie. – P-przecież tamten koń ma si-siodło. I jeszcze w-w-worek przy siodle...

Wszyscy jak jeden mąż zwrócili głowy we wskazanym kierunku.

– To ta miłość do jabłek – wyjaśnił prędko Dann. – Wiem, kiedyś mnie zabije.

Zamachnął się i cisnął owocem w zarośniętą mordę Geora. Mężczyzna krzyknął z bólu i podniósł rękę do twarzy, a Dann błyskawicznie sięgnął po topór i sztylet. Dostkoczył do Tadora i zatopił długie ostrze w jego brzuchu; wytrącił mu przy tym z ręki latarnię, a ta uderzyła o ziemię i zgasła, zostawiając całą robotę spasionemu księżycowi i gwiazdom. Tymczasem Savet wydał z siebie wściekły ryk i zamierzył się na Danna toporem. Dann wskoczył za słabnącego Tadora, jednocześnie uwalniając sztylet z jego kiszek, po czym pchnął nieboraka w stronę nacierającego kompana. Tador zacharczał i zabulgotał, kiedy ostrze Saveta wżarło się w jego bark. Savet nie zdążył wyhamować, poślizgnął się, podcinając nogi Tadorowi, i razem wyrznęli jak dłudzy.

Dann był już przy Georze, który nadal kłął i postękiwał, trzymając się za nos. Musiał jednak dostrzec napastnika, bo odruchowo zasłonił się lewą ręką, zachowując na tyle trzeźwości umysłu, by sięgnąć po własny topór. Dann zrobił wypad w prawo i z całej siły

rąbnął w ofiarowane mu ramię, po czym uskoczył, spodziewając się ataku. Ostrze Geora trafiło w pustkę, a Dann pchnął sztyletem, najpierw w plecy, potem kilkakrotnie w bok. Welim padł na kolana, rycząc i plując krwią. Dann odzyskał swoje narzędzia i powalił go kopniakiem w bark, po czym skierował oczy tam, gdzie powinien się ostać trzeci ciekawski.

Savet nie szukał zemsty. Drobił do tyłu, machając przed sobą toporem. Dann skupił wzrok na refleksach księżycowego światła ślizgających się po jego ostrzu.

– Pomocy! – wrzasnął tamten na całe gardło, zadziwiająco trzeźwo. – Tutaj! Szybko! Pomo...

„Kolejny celny rzut do kolekcji”, ucieszył się Dann, słysząc głucho łupnięcie. „Toporem i po ciemku, czyli za trzy punkty”.

Savet runął na ziemię z drewnianym trzonkiem sterczącym mu z piersi. Stojące za nim konie zarżały i zadrobiły kopytami. Welim dożył momentu, kiedy miłośnik elfów i jabłek wyrwał ostrze pomiędzy jego żeber i rzucił się pędem w stronę osiodłanego konia.

Dann słyszał, że na placu zapanowało poruszenie. Już pierwszy krzyk Geora musiał zaalarmować tych siedzących przy ogniskach. Dopadł konowiążu, sztylet schował do pochwy, a topór zatknął za pas. Jednym szybkim ruchem odwiązał poluzowany sznur. Wychylił się jeszcze tylko zza końskich zadów, ryzykując szybkie spojrzenie na pobojojisko. Kilku mężczyzn śpieszyło do miejsca jatki, wymachując żagwiami i wzajemnie się nawołując. Zaklął. Nie mogło już być mowy o cichym przemykaniu. Zaciągnął konia za róg budynku, zwinnie wskoczył na siodło, wsunął buty w strzemiona i dał wierzchowcowi łydki.

Nic się nie wydarzyło. Zwierzę zarzuciło głową i zastrzygło uszami, ale jak stało, tak stało.

Dann skrócił wodze i spróbował raz jeszcze, wypychając mocno biodra i dokładając cmokanie. Koń zrobił dokładnie cztery kroki, po czym stanął. Dann wybałuszył oczy.

– Jedź, cholero! – Klepnął bydlaka w szyję. Czyżby koń zapomniał, jak to jest mieć na grzbiecie jeźdźca? A może był na tyle młody, że elfy nie zdążyły go ujeździć?

Powtórzył rytuał, ale bydlę pozostawało niewrażliwe na jego magię. Łaskawie postąpiło jeszcze kilka kroków – i to było wszystko. Dann zacisnął pięści i spojrzał oskarżycielsko w niebo. Chyba nie umrze po tym wszystkim przez końską niekompetencję?!

– Hej, ty!

Obejrzał się przez ramię. Z lasu wychynął jeden z wartowników, niosąc przed sobą rozkołysaną latarnię.

– Co to za hałasy?! I co tam robi ten koń?!

W tym momencie zza stajni dobiegły dzikie ryki.

– MORDERCA! Szukać go! Łapać mordercę!

Dann momentalnie oblał się potem.

Wartownik obrzucił fachowym spojrzeniem zbiorowisko rozwścieczonych mężczyzn, po czym przeniósł wzrok na Danna. Sekundę później zaryczał jak niedźwiedź, uniósł siekiere, którą trzymał w pogotowiu, i rzucił się biegiem w jego kierunku.

„Koniec zabawy”, pomyślał Dann, po raz kolejny zmuszony złapać za sztylet. Przekręcił się w siodle i dźgnął konia w zad. Nie za mocno, ale tak, żeby poczuł.

Koń zarżał i wyskoczył do przodu, wierzgnął, zarzucając zadem, po czym wspiął się na tylne nogi, żeby strząsnąć niczemnika z grzbietu – ów był jednak na to przygotowany. Zaparł się w strzemionach i kurczowo przywarł do końskiej szyi. Bestia zerwała się do galopu, z mocą odbijając się od ziemi. Dann ledwo się trzymał, ale był tak zdeterminowany, że dźgnął jeszcze zwierzę piętami.

Dotarli do rogu budynku, ścigani okrzykami wściekłego wartownika. Dann szarpnął za prawą wodzę i skręcił całe ciało. Koń o mało nie wpadł między drzewa, ale w ostatniej chwili wykręcił, zarywając kopytami w ziemię, i wśród dzikiego rżenia obrał kierunek na trakt.



Jedyne, na co mógł teraz liczyć Dann – obok własnych umiejętności jeździeckich – to całkowite zaskoczenie pijanej bandy.

Zamierzał ominąć Welimów, jadąc wzdłuż linii drzew, ale wierzchowiec wolał realizować swój własny plan, który zasadniczo sprowadzał się do zrzucenia obmierzłego jeźdźca z grzbietu, techniką dowolną. Zawzięta bestia popędziła przez sam środek placu, gwałtownie hamując albo skacząc, gdy tylko coś wyrastało na jej drodze. A było tego sporo: toboły, beczki, strzelające iskrami ogniska, wreszcie półprzytomni Welimowie. Wykonywała przy tym ostre zwroty, często przechylając się niebezpiecznie na boki, i wyrzucała tylne nogi wysoko w górę. Dannem telepało we wszystkie strony: to podskakiwał w siodle, to zjeżdżał na końską grzywę, to wyginał się gwałtownie do tyłu. Nadal nie wypuścił jednak wodzy, pilnował, żeby trzymać je luźno. Skupił się na pracy bioder, na mocnym zaciskaniu nóg i zapieraniu się o strzemiona. Pomimo rozlicznych niedogodności odnalazł w sobie jeszcze dość wewnętrznej siły, aby w myślach obrzucać zwierzę najbrzydszymi inwektywami.

Ci spośród świętujących, którzy z opóźnieniem dostrzegli zamieszanie, wrzeszczeli teraz wniebogłosy i czmychali w popłochu przed oszalałym zwierzęciem. Zza stodoły wybiegli ci najtrzeźwiejsi, z toporami w gotowości. Na progu gospody zrobił się zator: wszyscy pchali się do drzwi, a wypadłszy na zewnątrz, stawali jak wmurowani i patrzyli ze zdumieniem na tańczącego pośrodku placu konia.

Tymczasem Dann zbliżał się do skraju wytrzymałości. Zaciskał zęby, ale z jego gardła i tak dobywały się rozpaczliwe okrzyki. Każdy moment wydawał się tym, w którym już na pewno musi spaść, aż nagle zrobiło się bardzo ciemno, a przy tym jakby ciszej, i Dann zrozumiał, że wypadli na trakt. Włożył całe serce w skierowanie konia na prawo. Z powodzeniem, choć nie bez zgrzytów.

Gdzieś z tyłu rozległy się wrzaski. Zerknął przez ramię: to kilku pijanych Welimów wypadło na drogę. Usłyszał, że na ziemię spada

coś ciężkiego, zapewne ciśnięty topór. Dann był już jednak poza zasięgiem.

Koń zrezygnował z dzikiego wierzgania i oszalały z przerażenia, pocwałował prosto przed siebie. Łapiąc równowagę i poprawiając nogi w strzemionach, Dann przypomniał sobie, jak zamierzał pożegnać się z Welimami. Bezszelstnie? Niezauważenie? Dobre sobie.

Trakt stanowił jedynie wyrwę w ciemności, zaznaczoną odrobinę bledszym odcieniem czerni, dlatego Dann skupił się na drodze. Powoli uchodziło z niego napięcie, żelazna obręcz na piersi rozluźniała się z każdym oddechem. Słyszał w uszach świst powietrza i czuł na twarzy krople deszczu. W przypiływie euforii wybuchnął śmiechem.

Uciekł im! Naprawdę im uciekł!

Uśmiech spętał mu z twarzy, kiedy niespodziewanie owionął go podmuch wiatru, nie zimnego, jesiennego, lecz przyjemnie ciepłego. Ta odrobina ciepła zmroziła mu krew w żyłach.

Jakby na potwierdzenie strasznego podejrzenia, od tyłu nadleciała wielka kula ognia, która wyprzedziła konia i rozbiła się na skraju drogi, oświetlając na mgnienie oka najbliższe drzewa.

Czarodziej. Kompletnie o nim zapomniał.

Następna kula śmignęła mu nad głową i zniknęła pod kopytami wierzchowca, który zarżał rozpaczliwie i skręcił tak gwałtownie, że Dann o mało nie wypadł z siodła. Z trudem złapał cenną równowagę, tym cenniejszą, że od tyłu nadlatywały nieustannie kolejne ogniste pociski. Żaden nie trafił w cel, ale Dann wiedział, że to szczęście nie może trwać wiecznie. Co robić?! Walka z czarodziejem była zasadniczo beznadziejna, mógł jedynie liczyć na jego błąd, ewentualnie skrajną głupotę. Przypomniał sobie, że łajdak jest pijany, i poczuł przyływ nadziei. Zawsze istniała szansa, choćby nikła, że po drodze opadnie z sił, skręci nogę albo popełni błąd przy teleportacji.

Tymczasem Dorden musiał zalać cały trakt rzeką ognia, bo nagle zrobiło się dziwnie jasno, Dann poczuł na plecach smagnięcie gorąca, a koń, posmyrany płomieniami, niemal pofrunął w powietrzu.

– Jest źle! – zawołał Dann, trochę do konia, a trochę do siebie.  
– Ma coraz... lepsze... pomysły!

Czarodziej powtórzył atak, ale tym razem o wiele gorzej wymierzył odległość – Dann jedynie kątem oka dostrzegł czerwonawe światło buchające za jego plecami. Przez chwilę obserwował pędzący obok rozedrgany cień konia i jeźdźca.

„Chyba nie mam wyjścia”, pomyślał, zaciskając zęby. „Czarodziej podąży za dudnieniem kopyt. Jeśli zrezygnuję z konia i nie skrećę karku, może zdołam zaszyć się w lesie. To moja jedyna szansa”.

Na samo wyobrażenie skoku z cwałującego wierzchowca przeszedł go dreszcz. Ile razy można mieć szczęście w ciągu jednej nocy?

Wziął głęboki wdech. Na trzy wyciągnie nogi ze strzemion.

Raz...

Dwa...

Trz...

Na drodze przed nim zapłonęło światło. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Koń zarżał i zaczął zwalniać. Dann ujrzał przed sobą rozchwianą sylwetkę Dordena, kołyszącego się na nogach i celującego w niebo rozpaloną dłonią. Czarodziej uniósł głowę i zmrużył oczy, jakby skupienie wzroku na drodze przychodziło mu z wysiłkiem. Dann zareagował instynktownie: ścisnął boki konia, a kiedy zwierzę wyskoczyło do przodu, przyłożył mocniej łydki i pociągnął za prawą wodzę. Wierzchowiec zaszarżował na czarodzieja. Tamten ociężałe wyciągnął przed siebie wolną, lewą dłoń, przymierzając się do ataku. Dann stanął w strzemionach, a kiedy był już tuż-tuż, uwolnił prawą stopę i kopnął go prosto w twarz. Mężczyzna runął na plecy, a Dann pognął na wprost, nie dowierzając, że to wszystko dzieje się na jawie.

Czy właśnie powalił na łopatki czarodzieja?!

Był tak wstrząśnięty, że przez dłuższą chwilę nic nie widział. Nie potrafił zdecydować, czy właśnie doznał przebłysku geniuszu, czy może całkowitego zaćmienia. Ważne, że zadziało.

„Psiakrew, naprawdę mam o czym opowiadać”, pomyślał, mrużąc oczy przed deszczem. Drżał na całym ciele, może z zimna, a może z nerwów. Zdawał sobie sprawę, że i jemu, i wierzchowcowi przydałby się odpoczynek. Nie mógł sobie jednak na to pozwolić. Jeszcze nie teraz.

Nad traktem niósł się rytmiczny tętent kopyt. Samotny jeździec wytrwale pruł trzewia nocy, pchany do przodu mroźnym wiatrem i rosnącą nadzieją na jeszcze kilka świtów.

## Rozdział 3

Mężczyzna wyciągnął przed siebie rękę, nie powiedział jednak ani słowa, nie zdołał się również na uniesienie głowy. Stał skulony, jakby dostał pięścią w brzuch.

- Tam?! – syknęła niecierpliwie.
- Chyba tam, pani.
- A dokładniej?!
- Tamten... biały... Pani.

Teleportowała się na drugi koniec placu i zadarła głowę, żeby popatrzeć na wskazany budynek. Był piękny. Biała fasada poprzecinana ciemnymi belkami, biegnącymi pionowo, poziomo i na ukos, a wspólnie tworzącymi symetryczny wzór. Falisty szczyt zdobiony misternie rzeźbionym drewnem, wyraźnie odcinający się od czerwonych dachówek. Na każdej z czterech kondygnacji – przeszklone okna i zielone okiennice. Gdyby Archen nie była wściekła, mogłaby tu stać bardzo długo, podziwiając tylko ten jeden dom. Niestety, *była* wściekła.

„Musiał tu mieszkać ktoś bardzo bogaty”, pomyślała, popychając lekko drzwi, które zastała uchylone. Tuż za progiem powitała ją wielka plama zaschniętej krwi. Archen nie poświęciła jej większej uwagi, weszła głębiej, stawiając stopę na samym jej środku.

Na parterze nie zastała nikogo, jedynie ślady walki i więcej krwawych wykwitów. Również na piętrze, w kuchni i jadalni, nie było żywego ducha. Dopiero w drodze na drugie piętro dobiegły ją z góry kobiece śmiechy. Stanęła pod drzwiami, zza których dochodziły znajome głosy czarodziejek.

- A ta? – To była Glenn.
- Tobie nie pasuje. Mnie by pasowała.
- Akurat! Myślisz, że nie mam oczu?!
- Myślę, że nie masz gustu.

Więcej chichotów. Archen przymknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Te idiotki potrafiły myśleć tylko o sukniach, błyskotkach i pachnących smarowidłach. Właśnie przekroczyli rzekę Adosę, rozpoczynając drugą falę inwazji na kraj elfów, morderczy pochód na wschód. Wszędzie panował jeden wielki rozgardiasz, każdy czarodziej był na wagę złota – zwłaszcza po tej feralnej wyprawie po kryształ – a one zdołały jeszcze znaleźć czas na mizdrzenie się przed lustrem. Był to czas ukradziony ich ludziom, ludziom, którzy zawierzili im życie, przyszłość swoją i swoich rodzin. Gdy tylko znajdzie wolną chwilę, spróbuje to tym kretynek wytłumaczyć. Tak, żeby zrozumiały.

Nacisnęła klamkę, pchnęła z mocą drzwi i wkroczyła do pokoju.

– Glenn.

Skrzydło drzwi odbiło się z hukiem od ściany, zadrżało i znie-ruchomiło, a na Archen zwróciły się trzy pary oczu.

– Podobno otrzymałaś moje wezwanie. Dlaczego muszę cię szukać? – spytała rzeczowo.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Sypialnia. Na lewo od wejścia stała toaletka z lustrem i krzesłem, tuż obok rozdziawiał się wielki kufer zarzucony kolorowymi tkaninami. Druga skrzynia, bliżej okna, była chyba całkiem pusta; część jej zawartości zaścielała ogromne łóżce, część podłogę wokół niego. Na białej pościeli, rozłożone na puchowych poduchach i zagrzebane w sukniach i halkach, leżały Elin i Dorte. Na widok Archen poderwały się nerwowo i usiadły, nie bardzo wiedząc, gdzie patrzeć i co ze sobą zrobić.

Glenn stała przy oknie, wyciągając przed siebie bogato zdobioną suknię w kolorze ciemnego wina. Napotkawszy spojrzenie Archen, zmrużyła zielone oczy w cienkie szparki.

– Chyba widzisz, że jestem zajęta – wycedziła. – Przyjdę, jak znajdę trochę czasu.

– Otrzymałaś wyraźne rozkazy. Czego w nich nie rozumiesz?

Glenn zacisnęła usta i przeniosła wzrok na suknię, udając, że podziwia detale czarnego haftu wijącego się wśród błyszczących koraliaków.

– Uznałam, że na pewno poradzisz sobie sama.

– Robisz to, co mówię. Uznawanie zostaw mnie.

Rumieniec na twarzy Glenn nabrał satysfakcjonującej głębi. Mierzyły się spojrzeniami, dopóki nie nastąpiło to, co musiało nastąpić, to znaczy dopóki tamta nie spuściła oczu.

Archen to wystarczało, w końcu wszystko było jasne. Odwróciła się, by odejść, gdy nagle przypomniała sobie, że chciała zapytać o coś jeszcze.

– Nie widziałyście Olji? Miała pracować nad eliksirem przyspieszającym gojenie ran.

Zapytane poruszyły głowami jak zaniepokojone kury, można by się spodziewać, że zaraz zaczną gdakać. Elin i Dorte ponownie uciekły wzrokiem, ale nie Glenn.

– Straciła męża – zasyczała. – Jest w żałobie.

– Nadal? – Archen skrzywiła usta w kwaśnym grymasie. – To było trzy dni temu.

Znowu te ptasie odruchy. Skonsternowane, potrafiły jedynie przerzucać się spojrzeniami.

– Powinna chyba być dumna? – dodała chłodno Archen.

Wybałuszyły na nią oczy i rozdziawiły usta, jakby się wcześniej zmówiły. „Mój błąd”, zrozumiała. „Nie powinnam oczekiwać od tych kretynek, że dostrzegą w śmierci coś więcej niż śmierć. Coś takiego musi być całkowicie poza ich zasięgiem”.

– Nieważne – powiedziała zimno i posłała Glenn przeciągłe spojrzenie. – Czekam na dole.

Ledwo stanęła na szczycie schodów, kiedy drzwi do sypialni

zatrzasnęły się z gromkim hukiem i dobiegło zza nich wściekłe sy-  
czenie Glenn.

– Ależ... ja jej... nienawidzę!

Archen wstrzymała oddech i znów przymknęła oczy, szuka-  
jąc ratunku w ciemności. Cierpliwość nie była jej mocną stroną.  
„Gdybyśmy tylko nie potrzebowali każdego czarodzieja...” Ta  
myśl stawała się powoli irytującym nawykiem. Przecież nie mogła  
wszystkich wymordować, choćby na to zasługiwali. A co dopiero,  
jeśli potrafili przemieniać się w zwierzę.

Pech chciał, że Glenn była ostatnią żyjącą czarodziejką obda-  
rzoną tym rzadkim talentem.

Stąpając jak najciszej, Archen wróciła na piętro i przytuliła po-  
liczek do drzwi. Nie chciała sterczeć na placu w nieskończoność,  
wołała zatem sprawdzić, czy Glenn zamierza od razu wykonać po-  
lecenie. Zakładała, że będą ujadać na jej temat, i nie zawiodła się.

– ...naprawdę wierzy w to, co mówi?

– Jej zależy tylko na jednej osobie, cała reszta się nie liczy.

– Może spojrzalby na nią inaczej, gdyby nie ubierała się na co  
dzień w worki po mące.

Zaniosły się złośliwym śmiechem. Archen bezwiednie zacisnęła  
pięści.

– A te obrzydliwe włosy? Jeśli chciała być brzydka, to cel osią-  
gnęła.

– I tak jest jego ulubienicą. Archen to, Archen tamto.

– Tak samo było z Dugalem. Zawsze miała się najlepiej, a uda-  
wała najbardziej pokrzywdzoną...

– Miała duży pokój, z miękkim łóżkiem i mnóstwem futer...

– Nie zapominajmy o *penkgalin* – dodała cicho Glenn. – Nawet  
nie stała wtedy w rzędzie.

Za drzwiami zapanowało wymowne milczenie. Archen skuliła  
ramiona, jakby na jej plecach miało spaść uderzenie bata. Tego się nie  
spodziewała, choć może powinna. Oparła czoło o chłodną ścianę. Jej



oddech stał się płytki i urywany, znów czuła, że płuca nie potrafią wypełnić się powietrzem.

– A pamiętacie ten rok, kiedy było tak ciężko, że nawet my chodziliśmy głodni? – To była Dorte. – Ona nadal dostawała pełne posiłki, ryby i mięso... Miałam pokój obok niej i przysięgam, że czułam te wszystkie zapachy przez drzwi.

Pięść Archen sama uderzyła w ścianę, miękko, głucho, niemal bezgłośnie. Smukłe palce rozczapierzyły się i zakrzywiły niczym w konwulsyjnym spazmie.

– Idiotko – zaszeptał drżący głos. – Nie słyszałaś moich krzyków...?

Rozmowa toczyła się dalej, ale do Archen słowa już nie docierały. Stała z zamkniętymi oczami, zaciskając roztrzęsione dłonie w pięści. Dopiero gdy drżenie ustało, stanęła prosto, z wysoko podniesioną głową, i ponownie otworzyła drzwi na oścież.

Kiedy przemówiła, jej głos był czysty i wolny od emocji.

– Glenn. Jak mam ci wytłumaczyć, że masz zejść na dół?

Potoczyła wzrokiem po całej trójce, ale nie czekała na odpowiedź. Okręciła się w miejscu i bez zbędnego pośpiechu wróciła na schody.

Pozostałe w sypialni czarodziejki trwały nieruchomo, dopóki nie ucichły jej kroki. Wówczas Elin zsunęła się z łoża, na palcach przemierzyła pokój i wyjrzała na korytarz.

– Czysto – mruknęła, przymykając drzwi.

– Myślicie, że podsłuchiwała? – spytała z nietęgą miną Dorte.

– Nawet jeśli, to przecież nie usłyszała nic nowego – stwierdziła sucho Glenn, wyglądając przez okno. – Same widzicie, muszę iść. – Powiedziała to obojętnym tonem, ale kiedy składała suknię na dnie kufra, usta miała zaciśnięte. – Tylko nie rozkradnijcie wszystkiego, zostawcie coś dla mnie.

– Dostaniesz oba kufry! – obiecała Elin, ale Glenn przymierzała się już do teleportacji.

Przeniosła się na środek placu. Archen stała przy drzwiach kamienicy, oparta o rozgrzany słońcem mur, z rękoma założonymi na piersi. Jak zwykle blada i sztywna jak trup. I skwaszona, też jak zwykle. Zmierzając w jej stronę, Glenn nie ukrywała wzburzenia.

– Czego ode mnie chcesz?! – zasyczała. – Co jest takiego, czego nie możesz zrobić sama? Ciekawe, że potrzebujesz akurat mnie, i to na już, zaraz.

Archen pozostała niewzruszona.

– Zostawiłam na niej swój znak – rzuciła takim tonem, jakby właśnie coś wyjaśniała.

– Na kim?!

– Na tej czarodziejce, z którą walczyłam w twierdzy.

– I co z tego?

– Znak nie zniknął, czyli jakimś cudem przeżyła. Musimy sprawdzić, kto to był. Dyskretnie.

– I tak ci się z tym śpieszy?! Chciałaś po prostu pokazać, że możesz nam rozkazywać.

– Przygotuj się, otwieram portal.

Glenn prychnęła z niedowierzaniem.

– Mogłabyś sama się trochę wysilić – rzuciła z przekąsem. – A nuż by ci się udało. Widziałam tutaj takie czarne ptaszyska z zakrzywionym dziobem... Wyglądają jak wybrańcy śmierci i brzydko skrzeczą. Byłyby dla ciebie idealne.

Archen nie słuchała, zapatrzona w znak na swoim przedramieniu. Mały romb koloru zakrzepłej krwi. Przytknęła do niego palec i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie dużego, białego ptaka żeglującego po niebie. Gdyby ptak spojrzął daleko, daleko w dół, przebijając wzrokiem wszelkie fizyczne przeszkody, deszcz i śnieg, kamień i drewno, metal i szkło, grube płótno i miękkie tkaniny, a wreszcie ciało i kości, dostrzegłby drugi taki znak, wyboczony na skórze rudowłosej czarodziejki, tuż ponad linią włosów. Nadal skupiona, Archen wyciągnęła przed siebie dłoń i minimalnym wysiłkiem

woli rozdarła przestrzeń, otwierając magiczne przejście. Rozprucie buchnęło jaskrawym zielonym światłem.

Glenn prychnęła jak wściekła kotka i skupiła się na przemianie. Kiedy Archen otworzyła oczy, nie miała już przed sobą wysokiej, jasnowłosej kobiety w zielonej sukni, a przycupniętą na bruku sowę o białych, brązowo nakrapianych piórach. Przesunęła się, żeby zrobić jej miejsce. Sowa obdarzyła ją nieprzyjaznym spojrzeniem i podfrunęła, by zniknąć w portalu, a ten natychmiast szczelnie się za nią zawarł, może nawet odrobinę za szybko.

Archen nie odrywała wzroku od miejsca, gdzie zgasła ostatnia iskierka zieleni. Zdołała uszczknąć zaledwie kilka małych piórek, momentalnie porwanych przez wiatr. Marna to zdobycz, mierzyła w połowę ogona.

Wzruszyła ramionami i po raz pierwszy rozejrzała się po opustoszałym placu. Przedstawiał raczej smętny widok. Wczorajsza ulewa zmyła już z bruku krew, ale przewrócone wozy, osmalone belki i wyłamane drzwi jaskrawo przypominały o niedawnych wydarzeniach. Kilka kroków dalej, zagrzebana w błocie, gniła błękitna czapka przystrojona farbowanymi piórami. Była tak nieznośnie elficka, że Archen nie miała wyboru. Musiała spalić ją na popiół.

Zdecydowanie nie miała tutaj już nic do roboty. Sprzątanie po elfach zostawi innym. Ona zaczeka na Glenn w Alkemeri.

\* \* \*

Objęły ją chłód i wilgoć, otoczyły szare, postrzępione chmury, daleko w dole zlewające się w morze zaśniedziałego srebra. Potrzebowała chwili na rozeznanie się w swoim położeniu, dlatego rozwinęła skrzydła i dała się ponieść wirującym prądom i porywom wiatru. Wreszcie przejęła stery, zwiesiła dziób i zanurkowała. Przebiła zwartą masę chmur, a wówczas jej oczom ukazał się przestwór

zieleni, szarości i bieli. Rozwarła szeroko powieki i zaczęła obniżać lot, zataczając wielkie koła wśród grubych kropli deszczu.

W dole rozpościerało się olbrzymie miasto, od północy wcinające się pomiędzy ciemnozielone wzgórza, na wschodzie wpadające do rozległej zatoki, a z pozostałych stron otoczone polami i lasami. Ciemne niebo sprawiało, że przecinająca miasto rzeka przypominała strugę płynnego ołowiu. Uwagę sowy bardzo szybko przyciągnął rozległy kompleks budowli osadzony na skarpie na zachodnim brzegu rzeki. Plamy zieleni i bieli, które tak bardzo wyróżniały się na tle gęstego splotu niezliczonych ulic, okazały się ogrodem i brukowanym dziedzińcem, otaczającymi od wschodu i zachodu biały pałac na planie kwadratu. Jego cztery skrzydła zamykały się wokół kolejnej zielonej plamy, przestronnego dziedzińca wewnętrznego. Poniżej, w obrębie tego samego muru, spływało w dół zbocza kilkanaście mniejszych i znacznie skromniejszych budowli.

Dosiadła wiatru niczym pędzącego wierzchowca. Zeskoczyła nad skarpgą i zakołowała w dół, wprost na porośnięty trawnikiem dziedziniec. Jego środek znaczył pomnik z mlecznobiałego kamienia, przedstawiający mężczyznę triumfalnie wyciągającego przed siebie miecz. Sowa przysiadła na jego ramieniu, z niesmakiem konstatuując, że nie jest jedynym ptakiem, który skorzystał ostatnimi czasy z jego gościny. Przez chwilę wierciła się niespokojnie, drobiąc szponami po gładkiej powierzchni, aż wreszcie usiadła wygodnie i powiodła wzrokiem dokoła.

Pałac w Alkemerii niezmiennie robił na niej wrażenie, ale ten, choć nie przerastał go rozmiarami, miał w sobie jeszcze więcej majestatu. Łabędzie skrzydła, ułożone z równo przyciętych bloków, ukoronowane były gęstymi blankami, a z każdego rogu wyrastała kwadratowa wieża. Najbardziej imponująco wyglądało skrzydło zachodnie, z ogromnym portalem pośrodku i rzędami wysokich, smukłych okien, zwieńczonych łukiem i podzielonych kamiennymi zawijasami wyobrażającymi drzewa o nagiej koronie. Za doskonale przezroczystym szkłem widać

było dostojne sylwetki kolumn i mleczone tafle posadzek. Glenn chętnie podleciałaby bliżej i zajrzała do środka, powstrzymywała ją jednak świadomość, że duży ptak z dziobem przy szybie mógłby wzbudzić podejrzenia. I tak zdołała już przyciągnąć uwagę pilnujących portalu strażników. Jeden z nich właśnie wskazywał na nią palcem, spoglądając pytająco na drugiego. Trudno powiedzieć, co dokładnie wzbudziło jego czujność; do tej pory nie zdołała ustalić, czy na starym kontynencie występują białe sowy. Na pewno bezpieczniej było zakładać, że nie, dlatego wcisnęła dziób pod skrzydło, udając, że czyści sobie pióra, a kiedy gdzieś z tyłu trzasnęło zamykane okno, skorzystała z okazji, by udać przestrasz i zerwać się do lotu.

Wzniosła się wysoko ponad wzgórze i zakreśliła jeszcze kilka kół nad przylegającym do skrzydła wschodniego ogrodem. Była już w wielu miastach i wiedziała, że pałac tych rozmiarów musi należeć do potężnego władcy, najpewniej samego króla, a to sugerowało, że trafiła do jakiejś stolicy. Akurat tyle zdążyła zrozumieć – wiele krajów, w każdym wiele miast, ale jedno najważniejsze. Sądząc po chłodzie i deszczu, przeniosła się daleko od południowego wybrzeża, gdzie lato trwało w najlepsze i gdzie dzisiaj od rana prażyło słońce. Miała już pewne podejrzenia, ale musiała je potwierdzić.

Nie chcąc wzbudzić niezdrowego zainteresowania strażników, poszybowała w dół skarpy, ponad skrzydłem zachodnim, półokrągłym placem i monumentalną bramą odgradzającą pałac od pozostałej części kompleksu. Biegająca od niej droga przepadała w kolejnej bramie, tym razem wychodzącej na miasto. Tu i tam garnęły się do muru mniejsze i większe budynki; te najdłuższe rżeniem oznajmiały, że mieszczą w sobie stajnie. Po lewej jakaś kobiecina pochylała się nad balią, nieco dalej grupa mężczyzn rozładowywała wóz. Chlupała woda w dźwiganych wiadrach, dymiły kominy, dzwoniło żelazo. Jeszcze niżej – podłużny budynek o surowym wyglądzie. Kwatery dla wojska, sądząc po rozstawionych na dziedzińcu słomianych tarczach. Dalej był już tylko mur, podzielony na równe odcinki okrągłymi basztami.

Zmęczone skrzydła domagały się odpoczynku, ale ciekawość gnała sowę naprzód. Wokół rozciągało się największe miasto, jakie kiedykolwiek widziała. Kilka ogromnych kół zatoczonych wysoko w powietrzu pozwoliło jej stwierdzić, że rzeka dzieli je na dwie wyraźnie różne części. Pałac, choć posadowiony nad samym brzegiem, niewątpliwie stanowił serce części zachodniej: od skarpy odchodziło promieniście pięć głównych arterii, biegnących aż do samych murów, gdzie kończyły się ufortyfikowanymi bramami. Wraz z pomniejszonymi uliczkami tworzyły one regularny wzór przypominający pajęczynę, której oka wypełniały podwórce i place. Wśród zabudowań przeważały urokliwe kamieniczki o spadzistych, szarych dachach. Biały bruk sprawiał, że całość wyglądała czysto i schludnie.

Do wschodniej części miasta prowadziła od południa kolejna brama, a od zachodu liczne mosty, zarówno kamienne, jak i drewniane. Ta dzielnica była mniejsza, mniej tutaj było placów, za to ulice miała szerokie, a domy większe i okazalsze. W porcie kołysały się lekko żaglowce i łodzie rybackie, w gęstwinie masztów i olinowania panoszyły się rozwrzeszczane mewy.

Chłonęła przesuwające się dole obrazy z mieszaniną zdumienia i zachwytu. Poraziły ją ogrom i piękno tego miasta, majestatem dorównującego niemal śnieżnemu pustkowiu, na którego łonie spędziła kilka pierwszych lat życia. Szybowała ponad dachami domów i wartko płynącą wodą, lawirowała między przęsłami mostów, niemal zapominając, co ją tutaj sprowadziło. Niemal, bo coraz częściej piękne widoki przesłaniało wyobrażenie chudej, czarnowłosej czarodziejki z twarzą wykrzywioną zniecierpliwieniem i irytacją. Zahukała ze złością, okrążyła wysoką wieżę z zegarami, górującą nad jednym z placów, i skierowała się na zachód. Minąwszy mury miasta i rozliczne budynki, które przycupnęły poza ich obrębem, zdała się na przewodnictwo szerokiego, kamiennego traktu. Droga biegła wśród rozmokłych pól i gęstych lasów, w których przeważały dęby i sosny. Odchodziło od niej wiele mniejszych ścieżek, a choć

często były oznaczone drogowskazami, to wypisane na nich nazwy nic jej nie mówiły. W miarę jak oddalała się od miasta, odgałęzień było coraz mniej, podobnie jak podróży. Kamienna nawierzchnia ustąpiła miejsca pobrużdżonej koleinami ziemi. Sowa zaczynała się powoli niecierpliwić.

Wreszcie wypatrzyła większe rozwidlenie dróg, a na nim skierowaną na wschód drewnianą strzałkę. Odruchowo zatoczyła nad nią koło, sprawdzając, czy nikogo nie ma w zasięgu wzroku. Dopiero wówczas przysiadła przed drogowskazem i przyjrzała się literom obcego alfabetu. Składały się w pojedyncze słowo: „Kamantery”.

Kłapnęła z zadowoleniem dziobem. Zadanie wykonane. Nareszcie może wrócić na południe, tym razem na skrzydłach magii.

\* \* \*

Znalazła Archen w pałacu w Alkemerii, na dalekim końcu Wielkiej Sali, pochyloną nad stołem wraz z Koitem i Benasem. Musieli się tam pojawić niedawno, bo przecież zajrzała tu w pierwszej kolejności.

– Archen! – zawołała. Ostro, ze złością. – Jak chcesz ze mną rozmawiać, to się tu pofatyguj – dodała o wiele ciszej.

Wparła ramię we framugę wrót, jak zwykle rozwartych na oścież. W środku aż się gotowała z wściekłości. Po drodze odwiedziła chyba z tuzin miast, co kosztowało ją więcej czasu niż sam rekonesans. W Kamantery przemokła do suchej nitki, a teraz zdążyła jeszcze zgłodnieć. O wielkiej dziurze w sukni, wyciętej na tyle ud przez zamknięty przedwcześnie portal, wołała nawet nie myśleć.

Archen obejrzała się przez ramię, ale poświęciła jej tyle uwagi, ile poświęca się wyciągniętej ręce żebraka, po czym jak gdyby nigdy nic wróciła do rozmowy z czarodziejami. Sądząc po charakterystycznym sposobie, w jaki dźgali paluchami rozłożone przed nimi pergaminy, studiowali jakieś mapy.

– Archen! – fuknęła ponownie Glenn.

Bez odzewu.

Pozostawało czekać. Całe szczęście, że padło właśnie na Wielką Salę. Glenn do tej pory pamiętała dzień, kiedy ujrzała ją po raz pierwszy: długą, przestronną, o jasnych ścianach i wysokim sklepieniu, rozświetloną słońcem sączącym się do środka przez błękitne morze, soczyście zielone liście i purpurowe winogrona.

Większość powierzchni długiej ściany południowej zajmowało siedmioro wysokich, przeszklonych drzwi, powyżej których widniały różnokształtne okna; razem tworzyły one symetryczną kompozycję, której zewnętrzny zarys przypominał tęczę, a wszystkie wypełnione były wielobarwnymi witrażami. Zdawało się, że drzwi nie wychodzą na taras, a na otwarte morze upstrzone bielą żagli. Przez okna zaglądały do środka czerwone rozgwiazdy, małże rozchyłały połówki muszli, odsłaniając ukryte w swoim wnętrzu perły. Wiekowe drzewo oliwne o skręconym, gruzłowatym pniu dźwigało ciemnozieloną koronę o srebrzystym połysku, nieco dalej pędy winorośli uginały się pod ciężarem dorodnych kiści owoców. Na samym środku, na nadmorskiej skale, siedziała syrena; srebrne łuski na rybim ogonie opalizowały delikatnymi odcieniami różu. Zielonkawę włosy zaczesła w taki sposób, aby przysłaniały małe, jędrne piersi, jednocześnie eksponując szpiczasto zakończone ucho. Za jej plecami z fal wynurzał się czarny wąż morski; płaski, gadzi łeb wieńczyła złota korona. Powyżej, zamknięte w bliźniaczych, okrągłych ramach, błyszczało słońce o falujących promieniach i połyskiwał sierp księżycy na tle zaciemnionej tarczy.

Tamtego dnia, kiedy Glenn po raz pierwszy przekroczyła próg Wielkiej Sali, już same te przesycone słońcem obrazy wystarczyły, żeby zamarła w zachwycie, z gardłem ściśniętym ze wzruszenia. A potem zerknęła w dół i zobaczyła, że snopy światła przepuszczone przez szkło rzucają na posadzkę setki barwnych plam, na podobieństwo lustrzanego odbicia.



Stała bez ruchu i oddychała tymi światłami.

Nie była zresztą jedyna. Do sali ścigali kolejni czarodzieje, a ci, którzy wchodzili, już nie wychodzili. Czuli ich obecność za plecami, słyszała szept i westchnienia. Wkrótce pojawiły się Elin i Dorte, stanęły po obu jej bokach, a ona pod wpływem chwili odszukała ich rozpalone dłonie i splótła ich palce ze swoimi. Chłonęli siebie nawzajem, przybysze z lodowej krainy, sponiewierani dopiero co zakończoną walką, i promienie słońca zakłęte w kolorowych szkiełkach.

To wtedy po raz pierwszy poczuła, że śnieg i lód zostawiła daleko za sobą, że marzenia całych pokoleń Welimów naprawdę mają szansę się urzeczywistnić. Że jej ludzi czeka inna, lepsza przyszłość, wystarczy ją tylko wywalczyć. Dopisać do tej historii ostatni, być może najczarniejszy rozdział, a potem zamknąć tę księgę raz na zawsze i zacząć od nowa.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. „Żadne miasto, choćby nie wiem jak zachwycające, nie jest w stanie tego przebić”, pomyślała z dumą.

Bo to był przecież jej nowy dom.

Witraże pozostawały tak piękne jak przed dwoma laty, ale Glenn zdążyła już do nich przywyknąć na tyle, by z łatwością odrywać od nich wzrok. Co też właśnie uczyniła, tylko po to, aby utkwic go w chudych plecach okrytych burą szmatą. Skrzyżowała ramiona i wpatrywała się w Archen, jakby mogła ją do siebie przyciągnąć mocą samego nienawistnego spojrzenia. Rzeczywiście, po dłuższej chwili czarnowłosa oderwała się od pergaminów i wyrosła tuż przed nią, na tyle blisko i niespodziewanie, że zmusiła ją do zrobienia kroku w tył.

– Czego się dowiedziałas? – zapytała sucho.

– Wszędzie cię szukam – zaczęła z wyrzutem Glenn. – Dlaczego nie czekałaś na mnie w tym samym miejscu? Mogłaś chociaż powiedzieć dziewczynom...

– Czego się dowiedziałas? – przerwała jej Archen.

– Jest w Kamantery – odpowiedziała niechętnie.

- W Kamantery?
- Tak. W stolicy.
- Skąd wiesz? Rozmawiałas z kimś?

Glenn pozwoliła sobie na kpiące prychnięcie.

– Z kim miałam rozmawiać? Sprawdziłam na drogowskazie. Zresztą to musi być jakaś stolica, bo miasto jest ogromne.

Archen lustrowała ją przez chwilę wzrokiem, nie wiedzieć w jakim celu, po czym bez słowa odwróciła się i ruszyła z powrotem w głąb sali. Glenn zgrzytnęła zębami.

– Może chociaż słowo podziękowania?! – zawołała ze złością.

– Podziękowania? – Archen gwałtownie obróciła się na pięcie, a Glenn mimowolnie podskoczyła w miejscu. – Wykonałaś tylko mój rozkaz. Ale właśnie mi o czymś przypomniłaś. – Znów pojawiła się przy niej, niebezpiecznie blisko, i chwyciła ją mocno za nadgarstek. Zaskoczona Glenn szurnęła podszwami po posadzce i spróbowała wyswobodzić rękę, ale Archen na to nie pozwoliła. Przytknęła swój długi, biały palec do jej przedramienia i spojrzała jej w oczy, z cieniem uśmiechu błędzącym na bladych wargach.

– To po to, żebym już nigdy nie musiała cię szukać.

Glenn syknęła, czując na skórze ukłucie gorąca, i znów szarpnęła ręką, znów bezskutecznie. Archen może i była chuda i koścista, ale chwyt miała żelazny. Zwolniła uścisk dopiero wtedy, gdy sama tak zdecydowała. Potem rzuciła jej ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i zniknęła, by dołączyć do czarodziejów.

Glenn zerknęła na swoje przedramię, na którym widniało teraz małe, krwawoczerwone znamię o nerkowatym kształcie, i zaklęła.

– Bezczelna – wycodziła. – Po prostu bezczelna.

Wyszła z sali jeszcze bardziej rozsierdzona. Dobrze, że miała się czym zająć.

Jeżeli coś ma jej teraz poprawić humor, to chyba tylko nowe suknie.



Dagmara Lorenc

Ilustracje: Agnieszka Yagna Firla

© Wszelkie prawa zastrzeżone